

T. 895.369

10

G A W Ę D

I

RYMÓW UŁOTNYCH,

WEADYSŁAWA SYROKOMLI.

POCZET PIĄTY

WILNO.

NAKŁADEM A. ASSA.

1857.

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001014171145

Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno, 16 Maja, 1 Czerwca i 8 Października 1856 roku.

Cenzor **PAWEŁ KUKOLNIK.**



I 895.369



Czcionkami A. Marcinówskiego.

nr inw.: I 1.460.036

1980K 1476/11

AD

TEODOROWI TRIPPLINOWI

i

JOZEFOWI MELENIEWSKIEMU

na pamiątkę ich gościny w Wilnie

uprzejmie poświęca

Sierpień 1856.

WŁ. SYROKOMLA.

*Wł.
Syrokomla
pobliższy Felicjan*

TEODOROWI TRIPPIANOWI

(1)

DOMOWI MIKIEWICZOWI

na przeliczanie lat w Włocławku

Włocławek, dnia 10. 10. 1880.

WŁ. TRIPPIANOWI

Wł. Tripbianowski

Włocławek, dnia 10. 10. 1880.

10

DO CZYTELNIKÓW.

I jeszcze gawęda i jeszcze piosenka,
Czy duszy wesoło, czy serce się pęka,
W gawędzie, w piosence, ja czyniąc im zadość,
Przywykłem zasklepić i boleść i radość.
Przebaczcie ich formie, przebaczcie ich treści,
A własną myśl waszą dośledźcie z uśmiechem,
Bo wspólnych radości, bo wspólnych boleści,
Jak serce tak pismo przywykło być echem.

NO CYTYRIZOW

I jeszcze gawędy i jeszcze przesady,
Czy duszy wesoła, czy smutna się była,
W gawędzie, w przesadzie, to zawsze im wiodło,
Przywilejom kasztelnika i szlachy i wiodło,
Pracownicy ich formie, parady i ich wiodło,
A klasa była wspaniałostwa i wspaniałostwa,
Ili wspaniałostwa i wspaniałostwa, do wspaniałostwa i wspaniałostwa,
Tak sobie tak pismo przywileju był odłam.

1

ILLUMINACYA.

2

LIBRARY

ILLUMINACYA. *po Karsrawie*)

WSPOMNIENIE Z DESZCZU.

(GAWĘDA LUDOWA). *z polską*

I.

Nastały nieskończone jesienne wieczory,

Natura drzemie!

Pochmurniały niebiosa i deszcz lunął spory

Na suchą ziemię.

Po wilgotnej przestrzeni, grzechotka pocztowa

Jęczała płaczem.

Mnie z dumkami obległa tęsknota grobowa,

Pan Bóg wie za czém!

Jak ten wietrzyk jesienny, co szumi na drzewie,

To w polu krąży,

Tak i myśl rozrzewniona sama siebie niewie,

Zkąd? dokąd dąży?

O minionej przeszłości marzy się coś — marzy

Dumka głęboka;

I czy to kropla deszczu bryzgnęła po twarzy?

Czy to łza z oka?

Zawstydzilem się płaczu, zamknąłem powieki —

Było mi ciemno;

I obraz zapomniany, miniony, daleki,

Staął przede mną.

II.

Dawno, dawno, przed laty, było jak w tój chwili,
Noc, jesień, deszcze;
Tylko wtedy na sercu było jeszcze milój
I różniej jeszcze.

U moich towarzyszków zamiar się ułożył
Jechać na łowy;
A choć zgoła na strzelca Pan Bóg mnie nie stworzył,
Szedłem gotowy.

Ułożyłem do drogi bez długich wymówek
Wszystko co trzeba:
Wziąłem wiązkę i lulkę, papier i ołówek
I kawał chleba.

I wesoło z chychotem puściwszy się w drogę

Skracamy chwile.

A do lasu gdzie jedziem — przypomnieć nie mogę,

Dwie czy trzy mile.

Przemokliśmy do nitki: bo deszcz lał jak z kadzi;

Broń nasza moknie...

A jacyż my szczęśliwi, jak byliśmy radzi,

Ze światła w oknie!

W chatce, gościnnie strzelec osuszał nam suknie,

Sprawił wieszczkę;

A gdy z myśliwskiej flaszki raz i drugi stuknie,

Gawędził szczerze.

Matka jego, pomimo starości i bólu,

Postać nielada,

O Nieświętym przepychu, o xięciu Karolu,

Cuda nam gada.

Bo widziała naocznie wszystkie tamte dziwy
 Jeszcze z dziecięcia,
 Kiedy Stanisław August, Król Pan miłościwy,
 Odwiedzał xięcia.

Na dzisiejsze wypadki prawie jak umarła,
 Tamtemi pała, —
 Jedną swoją powieścią serce mi rozdarła
 I łzę wylała.

Powiastrka skromna, prosta z wątku i osnowy,
 Z łez i goryczy;
 Powtórzę ją przed wami jój własnemi słowy:
 Słuchaj, kto życzy.

III.

—,„Ot, co to! Xiążę Karol! można mówić śmiało,
Morze miał groszy!
I oko nie widziało, ucho nie słyszało
Takich rozkoszy.

Żyje stary Lachowicz, Szybicki Bazyli,
Bukowski szatny:
Ci niechaj wam powiedzą, jak w tę porę żyli,
Jak był człek płatny.

Co szło ptastwa na kuchnię, co miodu, co wina,

A co kapeli,

Jakie bywało xiążę dziwy rozpoczyna,

Gdy się podchmieli!

VI

Ot wiadomo, z rozkoszy szaleją bogacze,

Szumią magnaci;

A za to biedny człowiek boleśno zapłacze,

Gorzko przyplaci.

IV.

Było to w drugim roku po mojem zameźciu,
(Jak dzisiaj pomnę),
A człowiek zawsze w biedzie i zawsze w nieszczęściu,
Wiodł życie skromne.

Z niedolą całe życie łamie się i łamie,
Płacze kryjomu...
Mąż mój służył za stróża tuż przy Słuckiej bramie,
W Arona domu.

W Nieświeżu Święty Karol to feta nielada,
Gości najwięcej;
Trzeciego czy czwartego jakoś Listopada,
Patron xiążący.

Mąż pojechał... (niepomnę), do Słucka, do Naczy...

Aha!.. do Klecka;

A Pan Bóg miłosierny udzielić nam raczy

Pociechy z dziecka.

Urodził się syn pierwszy... kubek w kubek po nim,

Jak z nieba spada;

Xiądz lektor Bernardyński ochrzcił go Antonim,

Imieniem dziada.

Złoto—mówię—nie Antoś: te późniejsze dzieci,

Schowaj się z niemi!

Dziś spróchniał—może nawet szkieletem nie świeci

W surowej ziemi.

A żyłby może dotąd... Dzień imienin xięcia

Wszystko odmieni.

Przyszła ospa—zwyczajna choroba dziecięcia,

Jak raz w jesieni.

No! uważasz jegomość, ospeby nareszcie

Przebył swobodnie;

Ale na święty Karol nakazano w mieście

Palić pochodnie.

Zamek od świec jarzących jak latarnia gore,

Tam bieży tłuszcza;

A rektor Jezuicki pod wieczorną porę

Fajerwerk puszcza.

Na grobli małą szpilkę przy kagańców mnóstwie

Znalazłbyś pono;

A w mieście, jak mówiłam, przy każdém domówstwie

Pochodnie płoną.

Słupy przy każdym domu wkopano do ziemi:

Lampa na słupie,

I wszyscy stróże domów, siłami wspólnemi,

Pracują w kupie.

O biednaż moja głowa! mój słupek nie gore,

Spóźniłam trocha:

Musiałam zakołysać moje dziecko chore,

Mego pieszczocha.

A pamiętam, że była z ulicy na dole

Nasza sadziba.

Stuka tedy do okna z ratusza pacholę,

Aż pękła szyba.

„Hejże, stróžu! pal światło, jak raczył zalecić

„Pan burmistrz miasta!”

Nie wiem czy tulić dziecię albo ogień świecić —

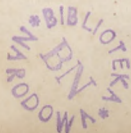
Biedna niewiasta!

Tam ogniów i tak dosyc, tu chora dziecina —

Boli mi dusza!

Wtém przypada do izby, w plecy mi zacina

Sługa z ratusza.



Wybiegam na ulicę, rozpalam pochodnię,

Wiatr ją zadyma.

Patrzę w okno— tam dziecię drętwieje i chłodnie

Tuż przed oczyma.

I krzyczy w niebogłoso, czarnieje jak sadza,

Serce się kroi:

Chcesz pobiedz; ale tutaj ratuszowa władza

Nad karkiem stoi.

Rozdmuchywam pochodnię, a wicher ją gasi,

Mój słupek w ciemnie!

Pachołek grzmoce w plecy, a stróżowie nasi

Śmieją się ze mnie!

Ich kagańce goreją, a mój ciągle gaśnie!—

Ze łzą goryczy

Rozpaliłam kaganiec — a mój chłopak właśnie

Najmocniej krzyczy.

Wiatr przez rozbitą szybę zawiał do kołyski

Mojego zucha —

Śmierć z wiatrem naleciała, bierze go w uściski,

A matka słucha..!

Ale nie może śpieszyć: bo tu ogień gaśnie,

Pacholek strzeże...

O dwónastój godzinie dały z armat właśnie

Zamkowe wieże.

Tam wykrzyka wiwaty i chyli węgrzyna

Gości gromadka;

A tu ogień rozpala oplakując syna

Zbolała matka.

Z zamku przywożą beczki trojniaku starego

I wina stare,

I sławetni mieszczanie aż pod ratusz biegną

Wychylić czarę.

A kiedy wszyscy krzyczą: *vivat mości xiążę,*

W sukcesów drodze!

Ja do mej dzieciny, do kolébki dążę...

Trupa znachodzę!

A nazajutrz, gdy każdy imieniny xięcia

Wspominał szczerze,

Ja niosłam na mogilnik trumienkę dziecięcia,

Mówiąc pacierze.

I długo, długo jeszcze dusza zapamięta

Te huki całe,

Żółtą jak wosk twarzyczkę i żółte rączeta,

W krzyku skostniałe.

Umarł... tak już sądzono — nie zaś z czyjój winy,

Broń Panie Boże!

Ale huczne przed laty były imieniny

W Nieświeżskim dworze.

URYWEK Z POEMATU POD TYTUŁEM:

NAJMLODSZY Z TOPORCZYKOW.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

LIBRARY

URYWEK Z POEMATU POD TYTUŁEM:

NAJMLÓDSZY Z TOPORCZYKÓW.

(Z PIEŚNI PIERWSZEJ).

I.

Oto z krzyża Pańskiego pierwszy blask dziejowy,
Rzucił jutrzniane światło na Lechitów głowy.
Lud Słowiańskiej krainy, jak ze snu ocknięty,
Przetarł oczy, na piersiach uczynił Krzyż święty,
A nócąc pieśń Wojciecha o Bogarodziocy,
Szedł na dzienną robotę na żywną ziemiocy.

A wiele ciężkiej pracy było w tej krainie:
Karczować stare puszcze, zaorać pustynie,
Na wilczych legowiskach pobudować miasto,
Dźwigać stopy kamieni i ziemię gliniastą,
I siłą, którą tylko wiara natchnąć może,
Murować krzepkie twierdze i świątynie Boże;
Jeszcze na każdym kroku pracy rozpoczętej
Staczać mordercze boje z ludźmi i zwierzęty:
Tam zastępy Germanów i Czechów i Rusi,
Tam niedźwiedzi i dzików pokonywać musi;
Jednych powstrzymać rozbój, co żelazem błyska,
Drugich zbójczym oszczepem wyganiać z łożyska;—
Brać dziedzictwo ostępów, gdzie z dziada, pradziada,
Chodził pić leśny bawoł, gdzie dzik gniazdo składa,
Kędy od sta pokoleń po lasach rozparci
Niedźwiedzie darły miody z dziedzicznych swych barei.
Tak lejąc krew i pot swój na każdy łan ziemi,
Rósł naród młodociany siły olbrzymiemi:
Ciosy kamiennych młotów kamięły głowę,
Ręce ich waląc dęby stały się dębowe,

Ciężki żelazny pancerz wśród bojów srogości
Wrosł im w piersi i stał się jakby kość ich kości.

Zwolna słońce poranne po niebiosach płynie,—
Wolniej toczy się słońce w Postępu krainie,
Ruch jego niedościgły, a bieg tajemniczy,
Niekiedy swe godziny na stolecia liczy;
Czasem Pański wybraniec z pospolitej rzeszy
Jedną myślą bieg jego tak silnie przyspieszy,
Że słońce świętej wiedzy, co powoli płynie,
Drogę całych stoleci przebieży w godzinie.

Nad ziemią Piastową jutrzeńka się widni:
Upadli bałwochwalców bożkowie ohydni,
A na miejscu ich świątyń, na pustej przestrzeni,
Już się kościół ceglany gdzie niegdzie czerwieni;—
Lecz trudno całą przeszłość wtrącić do mogiły,
Krzyż zaszcześcić na sercach co szatana czcili;
Trudno rozmiękczyć serce kiedy się zatwardzi,
Aby pychę złożyli baronowie hardzi,

Aby uznali bliźnich panowie wysocy,
I wiarą umiarkować potęgę przemocy;
Trudno przekonać naród bałwochwalstwa blizki,
Aby się krwawo nie mścił za swoje uciski:
Codzień przez nową krzywdę i nową sromotę,
Za nadto rozdrażniają jego serce złote,—
W duszy jego, to rośnie, to przyschnie na nowo,
Ziarno wiary zasiane ręką Wojciechową,

II.

Jeszcze ziemia Piastowska pusta, niebogata:
Gdzie niegdzie wioska, klasztor lub zamek magnata,
Gdzie niegdzie w pośród lasu tętni topor cieśli,
Gdzie niegdzie murownicy stos kamieni znieśli,
Mają budować miasto lub świątynię Bożą,
Gdzie niegdzie Niemcy towar zamorski rozwożą,
Nowgorodzian z futrami przemyka się lasem,
Lub Greczyn ze złocistym na sprzedaż hatłasem.
Przy każdej karawanie idzie zastęp straży:
Bo się kupiec bezbronno puścić nieodważy,

Bo przy każdym wąwozie, przy każdej granicy
 Czatuja na przechodniów leśni rozbojnicy.
 Wszędy możnych baronów feudalna władza,
 A każdy swą granicę żołnierstwem osadza;
 Bo wedle chciwój taxi, bez końca, bez miary,
 Należy celny pobór płacić za towary,
 A kędy mały strumyk, lub rzeczne koryto,
 Grobelne i mostowe pobierają myto,—
 I tak na każdej mili feudalnej ziemi
 Trzeba kopije kruszyć z poborey chciwemi,
 Albo wozy z towarem spróźnić do ostatka.

A drogi wązkie, puste — czasem w lesie chatka,
 Czasem domek strażniczy z nieciosanej kłody;
 Ale rzadko napotkasz z ogniskiem gospody,
 Gdzie podróżni, znużeni całodzienną drogą,
 Zieloną wiązkę siana na pościel mieć mogą.
 Młodocianego kraju nie wymyślne syny
 Na noc pod ciemną jodłą szukały gościny,
 Podróżni spoczywali na swych wozów osi,

Koń pasał się na błoni, której nikt nie kosi;
A przy sutém ognisku, nanieconém z chróstu,
Nocowali pielgrzymi, wracając z odpustu,
I rycerze i kupcy i leśni bandyci.
Czasem zbójca przy ogniu swą zdobycz pochwyci,
Czasem się pielgrzymowie albo kupcy zjadą,
Albo hufiec rycerstwa skupi się gromadą:
Każdej nocy, gdy luna na niebiosach błyska,
Domyśla się podróżny śladów zborówiska,
I tam na nocleg śpieszy, gdzie się ogień dymi.

III.

Tak od gór Świętokrzyżkich pobożni pielgrzymi
Zanocowali w lesie — ognisko rozkłada,
Stary rycerz sarmacki Świętosław Owada.
Ma z sobą młodą córkę i podeszłą żonę,
Obie w czarny, pielgrzymiński habit obleczone.
Czterech zbrojnych pacholków ze stanu kmieckiego,
Przy podróżnej kolasie bezpieczeństwa strzegą.
Szczipłyć to wprawdzie zastęp w wędrowce tułaczy;
Ależ Panny Najświętszej opieka coś znaczy!
Bo jako nieomylny Kościół o niej trzyma,

Ona jest Gwiazdą morską, ucieczką pielgrzyma.
Więc pod pawężą wiary, pielgrzymowie śmieli
W osamotnionym lesie na nocleg stanęli,
Rozniecili ognisko, kolasę wyprzęgli,
I przy stosie żarzystym rozpalonych węgli
Kipi skromna wieczerza. Znużeni widocznie
Poskładali pancerze, przyłbice i włócznie;
Tylko z mieczem przy bokach i w lekkiej koleczudze
Snują się pachółkowie na pańskiej posłudze:
Jeden konie mocuje żelaznemi pęty,
Drugi zasię wieczerzą i ogniem zajęty,
Trzeci zbiera po lesie trawę i łom suchy,
Czwarty pełni na wzgórkach straże i podsłuchy,
Gdy się niebezpieczeństwo zjawi niespodzianie
Aby trąbką z daleka dał znać karawanie.

Już się gwiazda wieczorna ku północy chyli,
Już wieczerzę spożyli i miodem zapili.
Nim na sutych wilczurach do snu się uklada,
Pieśnię Bogarodzicy zanócił Owada;

Dźwięczne nóty niewieście, ile głos doniesie,
Zaszcebiotały z echem, zagrały po lesie;
A czeladź pełna wiary i męskiego ducha,
Z silnych piersi potężnym śpiewaniem wybucha.
Leśny ptaszek, ocknięty pieniem uroczystym,
Zawtórował jak umie szcebiotem i świstem;
Jednym głosem grzmi puszcza gdy w nią echo bije,
Każda gałązka dębów wychwala Mariję.

IV.

Wtém chrapliwy jęk trąbki rozbił święte hymny;
Lękliwe serca niewiast przebieżał strach zimny;
Každy mąż sięgnął boku — ścisnął miecza głównię.
Znowu trąbka zagrała prędko i gwałtownie;
Lecz gwałtowniej i prędzój niż się głos dociska,
Zagrzmiał tętent rumaków wkrąg obozowiska.
Z cieniow wybiegli zbójcy, których zdobycz nęci,
Odziani w kute zbroje i krwią obryzgnięci.
A najstarszy ze zbójców zakrzyknął z oddali:
„Kto tu lasy pustoszy? kto tu ogień pali?
„Jaka tutaj zuchwała a zbrojna gromada
„Na ziemi Toporezyków Tabory rozklada?”

„Kto nie płaciwszy myta gdzie granica nasza,
„Feudalnego pana zwierzynę przepłasza?
„Za haracz, za zdeptanie ziemskich przywilei,
„Niech się odda na łaskę dziedzica tych kniei!”
Gdy to mówił — już tabor oblegli bandyci.
Jeden starca Owadę za piersi pochwyci,
Chce związać mężne ręce; lecz mu się nieszczęści:
Bo musi z chrobrym starcem staczać bój na pięści.
Inszy przypadł k'niewiastom, co trwożliwie krzyczą,
Skrepował starą matkę powrozową smyczą,
Pochwycił kraśną dziewczkę i na koń już sadza.
Inszy zasię rozpierzchłe tłumoki zgromadza,
Inszy zaprzęga konie, ów kolasę toczy,
A czeladź przepłoszona biega na uboczy,
Zbiera swoje pancerze, bardysze i siodła,
Przytomność ją odbiegła, odwaga zawiodła.
A nim się uzbroili, konie posiadłali,
Już trwożny okrzyk brańców rozlegał się w dali:
Uprowadzono zdobycz w nieznanne bezdroże,
Wierna czeladź dogania, a dognać nie może,

Umykają tak szybko, że i śladów niéma,—
 Nie pierwszyna łupieżcom uwozić pielgrzyma.

Pogoń tętni — dopada — już w lesie nie zginą!

Starli się pacholcowie ze zbójców drużyną.

Ich trzech tylko, choć zbójców niemała czereda,

Czwarta z nimi noc czarna, co ich liczyć nieda,

Piąte echo borowe na pustyni dzikiéj,

Co dwakroć, trzykroć mnoży bojowe okrzyki,

Że zbójcy obłąkani odgadnąć nie mogą,

Zkąd tu pogoń nadeszła i czy garścią mnogą?

Zakipiała po nocy bojowa robota:

Na oślep ciężki pałasz po pancierzach grzmota,

Aż pancierz sypie iskry — snadź że ciężka ręka;

Czasem bardysz się złamie, albo ktoś zastęka,

Lub dziko zarzy rumak ranion niewidomie,

Lub spada ciężkie ciało i tarza się w łomie.

Tak stacza bój zawzięty, choć oczom ukryty,

Czeladź pana Owady z leśnemi bandyty.

Wtém xiężyc mimo chmury, mimo gęste jodły,
Rozesłał pasmo światła gdzie się boje wiodły.
Obrzuciły się okiem bojujące strony:
Jeden z czeladzi ranion i z konia zrzucony,
Dwóch zbójców dogorywa przy zwałonój kłodzie,
Dwóch drugih bardyszami rąbie się i bodzie,
Wściekłością zaślepieni ranią się wzajemnie,
Bo wroga od swojego nierozeznać w ciemnie.
A pielgrzyska karoca zwałona w parowie;
Któs z niej się wydobywa, któs ratunku zowie,
Tam słyszna męzka groźba i niewieścia skarga;
Daléj stary Owada swoje więzy targa,
Skrepowany powrozem, mocuje się, miota,
By dosięgnąć rękojęść dzielnego brzeszczota...

FRAGMENTA
FRAGMENTA
O FILIPIE Z KONOPI.

FRAGMENTA
O FILIPPI & ROMANI.

FRAGMENTA O FILIPIE Z KONOPI.

(Z notaty na okładce starego Kalendarza, spisane
rytmem).

FRAGMENT I.

Niechaj Grecki Homerus albo Rzymski Maro,
Kleci o Trojańszczyźnie epopeję starą;
Niech Tasso głosi dzieje Krzyżowców pałasza,
Milton raj odzyskiwa, Baka śmierć ogłasza,
Niech jeden gra na lutni, drugi na multance,
Wszak krainy rymowój bezbrzeżne są krańce,
Niech każdy nowe rzeczy jakby z rogu sypie, —

Ja zaśpiewam o sławnym z Konopi Filipie.
 Muzo! (czy jak inaczej dziś twoje nazwisko)
 Gdy się nadto rozpędzę, bądź koło mnie blisko,
 Gdy się głowa zamarzy, gdy serce zapala,
 I kiedy bredzić pocznę — niech twa rączka biała
 Wodą z kastalskich źródeł głowę mi pokropi,
 Ażebym się nie wyrwał jak Filip z Konopi!

Przed trzemaset latami, gdzie Podolskie łany,
 Był cichy dwór szlachecki Konopie nazwany,
 Czy od panów Konopków, co go założyli,
 Czy od gęstych konopi, co może z pół mili
 Ciągnęły się przy dworku — a że grunt nie podły,
 Wyrastały wysoko, niby leśne jodły,
 Miały liście szerokie, miały kity duże;
 Tyle o dawnym dworku i nomenklaturze,
 Dość że jego panowie, ilem zebrał śladów,
 Pisali się z *Konopi* z dziadów i pradziadów.

Tam, w dniu pierwszego maja, na posłaniu grubém,
 W dzień świętych Apostołów Filipa z Jakóbem,

Roku, co się oddawna w mgłę przeszłości topi,
 Wyrwał się z łona matki *Pan Filip z Konopi*.
 Popatrzał na świat Boży i zacisnął pięście,
 I skrzywił się, jak gdyby zobaczył nieszczęście,
 I wrzasnął w niebogłosy na nótę sierocą,
 Jakby pytał z boleścią: a jaż tutaj po co?
 I długo hałasował — nakształt wojewody,
 Co przybywszy w podróży do nędznej gospody,
 Zlorzeczy gospodarzom aż trzęsą się ściany:
 Dla czego tutaj pałac nie wybudowany?
 Musiał wreszcie pomyśleć: cóż po tym zapędzie?
 Gdy nie można inaczej — niechaj i tak będzie!
 Wydał jakieś jęczenie, albo uśmiech głuchy,
 I usnął zawinięty w matczyne pieluchy.

W tydzień zebrano gości, jak się zwykle zdarza,
 Młodzian ochrzczone Filipem wedle Kalendarza,
 I łaskawi sąsiedzi popili się zdrowi,
 Życząc dobrych sukcesów panu Filipowi...

.

FRAGMENT II.

Bogdajby to na świecie być takim jak drudzy!
Stateczni obyczaju i zwyczaju słudzy;
Których myśli nieidą jakąś dziwną drogą,
Lecz na ubitych ścieżkach utrzymać się mogą,
Tacy nie będą nigdy samotnymi w tłumie,
Oni świat rozumieją — a świat ich zrozumie.
Zdarza się inszy człowiek, istny pieszczoeh Boży,
Któremu gdy myśl nową Pan do serca włoży,
Naprzód w czasie i miejscu trafnie go ośmieli,
I ludzi usposobi by go zrozumieli;
A wtedy słowa jego umysły ogarną,
I pięknego zasiewu posypie się ziarno.

Lecz znowu się zdarzają pomiędzy tysiącem,
 Ludzie z szaloną głową, a z sercem gorącym,
 Co nie bacząc gdzie mówią lub mówią do kogo,
 Przekonań swego serca powstrzymać nie mogą.
 Niedość silny, by zwalić starą postać rzeczy,
 Taki człek wszystko zbija, wszystkiemu zaprzeczy:
 W namiętności społeczne, burzę rozpedzone,
 Dmucha jak przeciw wiatru, by w inszą wiał stronę;
 Napróżno z całej siły zbiera w sobie ducha,
 Biedne piersi mu pękną, a nie nie wydmucha!
 A śmiechu-ż będzie śmiechu z biednego szaleńca!
 Gawieź palcem wskazuje, przechodzień się znęca:
 „Słyszycie, co on roi? patrzcie kędy tropi?

„Filip z Konopi!”...

FRAGMENT III.

U Ojców Jezuitów, w miasteczku Ostrogu,
 Uczyl się młody Filip służyć Panu Bogu,
 Mówić mądrą łaciną, czytać Rzymskie prawa,
 Słowem — tego wszystkiego, co szlacheć przystawa.
 Tam poczęli mistrzowie poznawać go ściślej:
 Myśli bywało... myśli... i nic nie wymyśli.
 Do nauk brał się nieźle; lecz widzą ojcowie,
 Że gdy o co zapyta lub myśl jaką powie,
 Tak mu się coś nie wiedzie w pośród szkolnej rzeszy,
 Że lub zgorszy bluźnierstwem, lub głupstwem roz-
 śmiesz!

A że był drobny wzrostem i wielce ruchawy,
 To bywało aż skoczy ze studenckiej ławy,
 Wybieży w środek szkoły, i gada a gada,
 I rękami wywija aż trąca sąsiada,
 A czy aż się iskrzą — taki w mowie zapał;
 Koniec końcem — rozśmieszył, albo plagi złapał.
 Naprzykład: Xiądz Retoryk raz uczył swe ucznie,
 Jak trzeba pięknym stylem wysłować się sztucznie,
 (A wtedy réj łacina wiodła w Polskiej mowie
 I wielce byli w modzie Olimpu bogowie),—
 Więc mówił xiądz Retoryk: „Trzeba zażyć pracy,
 „A nie gadać po polsku jak mówią prostacy;
 „Ale umieć łacinę, i przypiąć co chwila
 „*Sentionem* z Flakka, lub wierszyk z Wirgila,
 „A perjody układać okrągłej budowy,
 „To jest właściwe *signum* eleganckiej mowy.
 „Powtóre... uważajcie... że mówię: powtóre!
 „*Conticuere omnes!* podnieść uszy w górę!
 „Otoż tedy, *powtóre* — niechaj w twojej mowie
 „Najczęściej Olimpijsey panują bogowie.

„Zamiast mówić: ktoś *mądry*, dobry *do porady*,

„Nazwij go ulubieńcem bogini *Pallady*.

„Nie powiadaj: *człęk mężny*, bo tak mówią prości;

„Lecz powiedz, że jest pełen *Marsowej* dzielności.

„O kwiatach trzeba mówić, że to dzieci *Flory*;

„Zboże zaś w pięknej muwie to *Cerery* zbiory.

„Na jabłko nie mów: *jabłko*, lecz owoc *Pomony*.

„A tak wszyscy poznają, żeś człek wyuczony!”

Filip na szkolnej ławie dosiedzieć nie może:

— „Nie! — krzyknął — nie masz zgody, xiężę professorze!

„Jeden Bóg stworzył kłosa i jabłka i kwiaty,

„Na co tu Ceres, Flora, bóstwa stariej daty?

„Wszak Pan Bóg zakazuje wzywać bogi cudze!

„A że słynie ktoś mężnym w krajowej posłudze,

„I jeśli już konieczna retoryka taka,

„To już lepiej Tarnowskim nazywać wojaka:

„Najlepiej bohaterem nazwać bohatera!”

Xiądz Retoryk brwi zmarszczył jak Jowisz Homera,

A mszcząc się uchybienia mistrzowskiej powagi,

Skinął na starszych uczniów — i Filip wziął plagi.

A srogich bóstw Olimpu niewinna ofiara,
 Gdy po ciężkiej przestrodze pocieszyć się stara,
 Każdy nóż najgrawania do serca mu topi:
 „Nie wrywaj się więcej Filipie z Konopi!”

Drugi raz w Wielki Piątek Jezuickie żaki,
 Aby dać pobożności gorliwej oznaki,
 Więc za to, że Żydowie umęczeni Boga,
 Chciały wygrzmotać kijami rabina z Ostroga.
 Hurmem tedy pobiegli ku jego gospodzie,
 (Takowe nabożeństwa były wtedy w modzie):
 Dalej tłoczy się krzycząc w około siedziby,
 Zaświstały kamienie, zabrząknęły szyby,
 Wysypał się rój Żydów w nalaśliwej tłuszczy,
 Któs jeden, potem drugi do bitwy poduszczy,—
 I dwa groźne obozy skupiły się z blizka,
 Każdy złorzeczeniami i kamieniami ciska;
 Pogruchootano kije — zwarto bój na pięści,
 A zakom Jezuickim snadź Bellona szczęści:
 Bo tamtych większa liczba, tych męztwo ośmiela,

Pokonali wrzaskliwe hufce Izraela;
 Krew nawet popłynęła — już starsi przypadli,
 Pienią się zapaśnicy, biją się zajadli.
 Wtém gdzie bitwa najśroźsza, gdzie najgęstsze ciosy,
 Wpadł Filip z Cycerońska krzyząc w niebogłosy:
 „Stójcie, bracia! co widzę? cóż to w waszej głowie?
 „Wszak Chrystusa męczyli ich dawni przodkowie!
 „Cóż oni temu winni? swawole! swawole!
 „Na bezbronnych!... na słabszych!... o! ja nie pozwolę!”
 I wpadł w środek motłochu — a tam kupy wrzące,
 Nóż tedy grzmotać pięściami swojego obrońcę:
 Bo tego, co on gadał, żaden nie dosłyszysz,
 Mniemali, że zachęcał swoich towarzyszy.
 Zwijał się biedny Filip, padł na ziemię twarzą,
 I gdyby nie starosta z ratuszową strażą,
 Co przyszedł spędzić motłoch — pewnie dałby gardła,
 Tak się zawziętość Judzka na niego wywarła.
 Został jeden na placu — pierzełli towarzysze;
 A xiądz Rektor nadszedłszy — co widzi to pisze:
 Więc jako naczelnika ulicznej swawole,

FRAGMENT IV.

Czyż wam dalsze przygody Filipa powtórzę?
Nie spisać-by ich wszystkich na wołowej skórze.
Wyszędłszy na młodziana pracuje jak może:
Be służył i rycersko i na pańskim dworze.
Zawsze mu się nieszczęście jak z rękawa sypie:
„Nie wyrywaj się naprzód! dobrze ci, Filipie!
„Czyń jako czynią drudzy, wierz jak każdy wierz!”
Tak mu często radzili towarzysze szczerzy;
Ale nie łatwa rada, kto nieszczęścia dziecię,
Kto Filipem z Konopi zrodzon na tym świecie.

Kiedy trąba bojowa na wojnie zazgrzyta,
On wrywa się naprzód i pali z kopyta,
Nie bacząc gdzie jest odsiecz — czy koledzy biega,
Wrąbie się w środek hufca nieprzyjacielskiego;
Nim nadbieży szczęśliwa pomoc od współbraci,
Zawsze gęstemi rany swą płochą przyplaci,
A jeszcze mu nałaje obozowa władza,
Że im szyki pomieszał, że w planach przeszkadza.

Gdy insi brali łupy lub wojny honory,
On nigdy się nie stawil, bo zawždy był chorey;
Wtenczas gdy pole bitwy hojnie krwią pokropi,
Wyrwał się z chorobą jak Filip z Konopi.

Raz z hufcy Tatarskiemi jak lew szedł w zawody,
Pan Chorąży przedstawić miał go do nagrody;
Lecz Filip, jak mu często pomylić się zdarza,
Zaskarżył chorążego do regimentarza.
Skarga była prawdziwą, jak to wiedzieć możem,
Lecz chorąży przez zemstę mianował go tchorzem,
Zaświadczył, że go znalazł za wojskiem na ziemi,

(A pan Filip w tój chwili czuwał nad rannemi).

Wyrwał się biedny Filip jak raz w samą porę,

Zaskarżać naczelnika, opatrywać chore.

Służył, rzuciwszy wojsko, u dworskich podwoi.

Pan mówi: „Bracia szlachta! przyjaciele moi!

„Na sejmiku zakrzycheć, nie pozwolić całkiem,

„Aby Skarbnik Piltyński był u nas marszałkiem.

„Ja dzisiaj waszych wotów domagam się prosto

„Za moim przyjacielem Rzeczyckim starostą!”

Tedy krzyczą dworzany, szlachta zaściankowa:

„Niechaj żyje starosta! niech skarbnik się schowa!

„Kto nas dziś przekreskuje jesteśmy ciekawi!

„A kto inaczej trzyma — z nami się rozprawi!”

— „Jak to!! czy my nie szlachta? czy poddani chłopci?

(Zawołał wielkim głosem pan Filip z Konopi):

„Prawda, żem na twym chlebie, Mości Wojewodo!

„Ale mnie na sejmiku wyższe względy wiodą:

„Syn Rzeczypospolitój, znam krajowe prawa,

„I za tym podam kreskę, kto lepszym się zdawa.

„Pan Skarbnik ma i głowę i serce nielada,
 „Toć jemu marszałkować sejmikiem wypada.
 „Choć mi szyję zetnijcie, póki serce żywe,
 „Ja dla pana Starosty rzucę negatywę:
 „Tak mi każe sumienie!” Więc po takiej sprawie
 Pan go wyгнаł ze dworu— a dworscy szubrawce
 Uragali się nad nim, że ma zmąsły chore,
 Że się wyrwał z sumieniem jak raz w samą porę,
 Istny Filip z Konopi!

Więc głodno i pieszo,
 Śpieszył Filip na sejmik, kędy wszyscy śpieszą;
 Przekrzyczał, przekreskował, i do tyła sprostał,
 Że Marszałkiem pan Skarbnik Piltyński pozostał.
 Ale Skarbnik Piltyński, nie tego nieświadom,
 Kiedy ucztę dziękczynną wydawał sąsiadom,
 Kiedy szlachtę po uczcie hojnie winem kropi,
 Nie zaprosił na obiad Filipa z Konopi.
 Filip tedy w gospodzie ochoty zażywa,
 Zajada kawał chleba, pije szklanke piwa;
 A choć w duchu był wesół— lecz drudzy się śmieli,

Że porzucił sztandary dworskiej klienteli,
I dla czegoż porzucił? że jak Filip czysto,
Wyrwał się w samą porę ze sprawą ojczystą!
Ze śmiechu poszła bitwa — dzięki szarpetynie,
Dostał kresę przez wąsy, krew z czoła mu płynie:
Więc zlorzeczając sejmikom, w nędznej alternacie
Osiadł Filip z Konopi w rodzicielskiej chacie...

FRAGMENT V.

Do chaty, jak wiadomo, trzeba gospodyni:
 Więc objeżdża sąsiady i konkury czyni.
 Choć srodze poraniony, chociaż niebogaty,
 Dobrą mu niespodziankę naraiły swaty.
 Była panna posażna z domu Doliwitów,
 Skojarzenie i piękne a pełne zaszczytów,
 A dziewczę takie hoże, takie różne słyszę,
 Że mu szczerze radzili dobrzy towarzysze:
 Bo dwór pana Filipa podupadał znacznie,
 Bo on sprawę domową zaniedbał niebacznie,

A z owój konjunktury w małżeńskie ogniwa,
 Na szlachecką chudobę grosz i zaszczyt splywa.
 Więc starym obyczajem poczęto konkury.
 Można było sukcessa przewidywać z góry:
 Pan ojciec krew' żołnierską spodobał w Filipie,
 Pani matka za skromność pochwały mu sypie.
 Tylko bieda z dziewczyną — widział jak na dłoni,
 Że się widocznie lęka, że widocznie stroni,
 Że siedzi zadumana, pokryjomu wzdycha,
 Smutnie główką pokiwa i lżę otrze z cicha.
 Przykro patrzył pan Filip na ten znak niemily:
 Bo jój oczy nie żartem do serca się wpiły;
 Może kocha innego? — pan Filip się biedzi.
 — „Nieuważajcie na to! — cieszą go sąsiedzi —
 „Alboż to młode dziewczę jest panią swój woli?
 „Alboż może folgować swemu sercu gwoli?
 „Wyplacze się, przetęskni, i z wesołą twarzą,
 „Z tym pójdzie do ołtarza, z kim rodzice każą.
 „Zresztą, gdyby ten środek zdał się za surowy,
 „To można spowiednika użyć do namowy.

„Wszak na tém Polska stoi!”

— „Wstydz się, panie bracie!

„Czyż sercu człowieczemu już woli nie dacie?

„Czyż mam przyszłą małżonkę zakowywać sidły?

„Gwałtem porywać brankę jak Tatar obrzydły?

„Razem rękę i serce!! inaczéj nie biore!”

Ot i z sercém wyskoczył jak raz w samą porę!

Ale trudno poradzić, gdy się głowa stropi.

— „Upamiętaj się waszmość, Filipie z Konopi!

(Tak go sąsiad ofuknie). „Czas w głowie mieć olej!

„Wybrałhys piękny posag, niż te brednie woléj.

„Majątek ubożeje, idą, stare latka:

„Bierz, co daje fortuna i ojciec i matka!”

Radzono, by się zaraz oświadczył z amory;

Ale Filip z Konopi w tych rzeczach nie skory,

Chciał zjednać serce dziewczki: nieznacznie... nieznacznie,

Już się do niéj przybliża, już z nią szeptać zacznie;

A szepcą tajemniczo... coś w głowach się marzy;

Ona poweselała — on zesmutniał w twarzy.

To jedynie przyjaciół pocieszało trocha,

Że para młodych ludzi widocznie się kocha.
 Całe dni z sobą razem i wieczory razem,
 Pan Filip z tajemniczym coś szepce wyrazem,
 Przytłumione westchnienia znać po nim co chwila,
 A ona wdzięcznym okiem k' niemu się przymila.
 Czasem łąz oblanemi pożegna oczyma,
 I wyjeżdża z jój domu — dni kilka go niéma;
 Ale dokąd i po co wymyka się zdradnie?
 Tego nawet najbliższy przyjaciel nie zgadnie.

Raz powrócił k' bogdance z niebytności długiěj,
 Z nim przybył nieznajomy jakiś młodzian drugi;
 I pan Filip na stronę ojca, matkę bierze,
 Snadź już o rękę córki oświadcza się szczerze.
 Tak szepcą przyjaciele, radzi w głębi ducha,
 Że nakoniec natchnienia rozumu posłucha.

Cóż długo z rodzicami ciągnie się narada,
 A dziewczę to kraśniej, to jak chusta błada.
 Wyszli wreszcie — a Filip z obliczem radości
 Zbliżył się do młodziana, co przybył z nim w gości,

Zbliżył się do dziewicy—i rękę im podał:
 „Teraz do nóg rodzicom! do nóg parę młoda!
 „Rodzice zezwolili!!” Więc owi przelękli
 Do nóg ojca i matki nieśmiało uklękli;
 A gdy ci błogosławią: „Połączcie się zdrowi!”
 Oni upadli do nóg panu Filipowi:
 „Tyś anioł dwójga ludzi!!! dobroczyńca miły!”
 Aż się usta sąsiadów z dziwu otworzyły,
 I rzecz stała się jasna, jak żaden nie marzy:
 Że Filip widząc smutek na dziewiczej twarzy,
 Zbliżył się do niéj szczerze—uznał niespodzianie,
 Że się kocha w ubogim, lecz zacnym młodzianie,
 Że ojciec na ten związek zezwolić nie raczy,
 Że ona Filipowi da rękę... z rozpaczy...
 Lecz to będzie ofiara—boleśna, straszliwa!...
 Więc się Filip z dziwacznym konceptem wyrwa:
 Choć bolało mu serce, choć kochał nad życie,
 Poprzysiągł uszanować to uczuć odkrycie,
 I za dwójgiem kochanków, tejże saméj chwili,
 Wstawiał się do rodziców, którzy go lubili.

Nim upor pana ojca przełamał ognisty,
 On przewoził kochankom ukłony i listy,
 I póty prosi, błaga, intrygę kojarzy,
 Aż na związek serc czułych zezwolili starzy.
 I jakże wyszedł na tém — żal się Panie Boże!
 Stracił bogaty posag, stracił dziewczę hoże!
 Nie żal go, że cichaczem twarz łzami pokropi:
 Bo się wyrwał w swatowstwo jak Filip z Konopi.

FRAGMENT VI.

Tedy Filip zraniony na ciele i duszy,
 Już w domu zamieszkawszy rzadko gdzie wyruszy;
 Przywiązał się do pola, do łąki, do wioski,
 I w pracy swe bolesne zagrzebywał troski,
 Ugaszczał dobrych ludzi, uszczęśliwiał kmiotka,
 Odżyła nowém życiem domowa zagrodka.
 Sąsiedzi go lubili i estymowali:
 „Lubo dziwak — mówiono — choć mu mózg się pali,
 „Ale serce poczciwe w pracy się nie nuży,—
 „Trzeba o tém pomyśleć niech rodakom służy!”
 Tak mówili życzliwi współobywatele,
 A właśnie że ku temu i zrećność się ściela.

Bo przyszła wić królewska do wszystkich powiatów,
Aby na sejm Grodzieński wysłać deputatów.

Więc zgromadził się sejmik w powiatowém mieście,
Zjechało się i panów i szlachty ze dwieście.

Tego, owego wybrać... ktoś krzyknął w zapędzie:

„Niech pan Filip z Konopi naszym posłem będzie!”

Z ust do ust gdy się braciom jego imie poda,

Przyjęto na rozwagę — i stanęła zgoda.

Tak tedy, choć się w żadne urzęda nie ciśnie,

Został wybrany posłem prawie jednomyślnie.

Wdzięczny za miłość bratnią, za tyle okrzyków,

Wydał braterską ucztę dla swych powietników;

Gdzie potężnym kielichem pijąc bratnie zdrowie,

Zawołał uroczyście: „Héj, mości panowie!

„Niech żyje bracia szlachta! bohaterskie plemie,

„Filar złotój swobody téj Sarmackiej ziemi!”

— „Wiwat szlachta! (któs krzyknął powtóre, potrzebie)

„Niemasz stanu jak szlachta, niemasz w całym świecie

„Ona jedynie godna zaszczytów, swobody!”

— „Mylisz się! (krzyknął Filip) na to niema zgody:

„Bo jest w Polsce stan inszy— chociaż nieherbowni,

„Muszą stanąć ze szlachtą i staną na równi!”

— „Co waść gadasz, Mospanie Filipie z Konopi?

„Któż to równy ze szlachtą?...”

— „Któż to równy?— chłopci!

(Zawołał groźnym głosem iskrząc się oczyma)

„Których Rzeczpospolita w poniżeniu trzyma.

„Kiedy my bronim granic, mościwy kolego,

„Oni nam chleb gotują, naszej dziatwy strzegą.

„Tam, gdzie ziemię rolniczą stworzyły Niebiosa,

„Wart najlepszego herbu ich topor i kosa.

„Waść niby człek rycerski— a pozał się Boże!

„Szabla ci zardzewiała od pradziada może.

„A patrzaj na ich pługi— czyż nie więcej warte?

„Jak się błyszczą codzienném użyciem wytarte!

„Oni w swojej dostojnej a skromnej postawie,

„Lepiej się zasłużyli niż my naszej sprawie:

„Warci równości z nami!.. Dziś gdy tu ziemskim

posłem,

„Patrzajcie, jaki projekt do sejmu przyniosłem:
 „Oto moja najpierwsza kmiotków zapomoga!
 „Równość w obliczu prawa, jak w obliczu Boga,
 „Jeden statut dla wszystkich, zobopólna rada,
 „Miejsce w Izbie poselskiej gdzie szlachta zasiada.
 „Patrzcie, Mości panowie! czysty zysk w tym względzie!
 „Ileż głów zdrowej rady krajowi przybędzie!
 „Ile serc nieskalanych! a na ich oświatę,
 „Wszak mamy Jezuitów Kolegja bogate.
 „Toż w Rzeczypospolitej nie dziwna nowina.
 „Daj mu miejsce, szlachcicu, obok twego syna!
 „Płać podatek do skarbu, jak i kmiotek płaci;
 „Szlachtę nazywasz bracią, miejże tych za braci!
 „Ja piję zdrowie kmiotków! héj! kto ze mną pije?”
 Krzychał Filip z Konopi wyciągnąwszy szyję,
 I w serdecznym zapale, ducha gorącości,
 Pelen kielich tokaju wyciągał do gości.
 Ale szlachta zgorzozona zrywa się od stołu,
 I sto głosów gniewliwych zawrzało pospołu:

— „Co! mój herb Paparona przyrównać do cepa!”

— „Co to! szlachta mniej warta niżli gawiedź

„szlachta mniej warta niżli gawiedź ślepa!”

— „Co to! chłop z moim synem ma siadywać w szkole!”

— „Co to! ja na podatek od szlachty pozwolę!”

— „Piękny poseł! na sejmie stan szlachecki zgłuszyl!

„Hejże, Mości panowie! a obciąć mu uszy!”

I sto spójrzeń Filipa przebodło surowo,

I sto szabel zabłysło nad niebaczłą głową;

I każda — jedna ostrzem, druga płazem kropi.

Zatoczył się skrwawiony pan Filip z Konopi,

Chciał dobyć karabeli — lecz padłszy jak długi;

Wywrócił stół z puhary, — krew i wina strugi

Pociękły po podłodze, szkła w powietrze leca...

A gdy się zapęd szlachty uspokoił nieco,

Wywleczono z pod stołu, jak gdyby złoczyńcę,

Zrąbanego do kości, zbitego na sińce.

Ten widok jakoś szlachtę do żalu poruszy:

Ouciono Filipa, dopytano duszy,

Dali nieco pomocy i nieco pociechy,

I zawieźli Łazarza pod domowe strzechy.

Dobrze mu! jak niewiedzieć, że los taki spotka,

Kiedy szlachtę porówna do podłego kmiotka?..

FRAGMENT VII.

Łoże jego choroby — to łoże żebracze;
 Myślicie, że ktoś czuwa, że ktoś nad nim płacze?
 Ani żywego ducha! Pan Filip w swój dumie
 Wyrwał się przed lekarzem, że leczyć nie umie,
 Że trzeba inszym kształtem opatrywać rany;
 Zagniewał się na niego lekarz zawołany,
 I opuścił nędzarza na łożu niemocy.
 Potém Filip z Konopi wyrwał się jak z procy,
 Dowodzić przed plebanem, kutym teologiem,
 Że wszyscy Chrześcijanie równi są przed Bogiem,
 Że grzech brać dziesięcinę od ubogiej włości,
 Że nie każdy zbawiony, kto suchedni pości.

Xiędzu aż uszy wędły na takie gadanie,
 Powiedział, że tu noga jego nie postanie,
 I dopełnił, co przyrzekł. A tu przyszła nędza:
 Grosz mozolnie zebrany grosza nie dopędza,
 I dworek opustoszał i grunta w bezładzie,
 A musi trzos mieć pełen kto się w łóżko kładzie,—
 Nie stało i na plastry w szlacheckiej chudobie,
 Tak przejęczał rok cały zlorzcząc sam sobie;
 W rany weszła gangrena — a głód wnętrze wierci;
 Aż po długim konaniu doczekał się śmierci.

A kiedy dziad kościelny gromnicę mu poda,
 Wyrwał się z narzekaniem: że mu życia szkoda.
 Boże, Boże! tak marnie styrawszy swe lata,
 Tylko Filip z Konopi mógł żałować świata!

ZAKOŃCZENIE.

I nikt z żyjących ludzi po panu Filipie
 Nie płakał na pogrzebie, nie wypił na stypie,
 Nikt mu pochwalnych liter nie wyrzył na grobie;
 A kurhanek piaszczysty — rozsypał się sobie.
 Śpi Filip, póki na sąd straszliwy się zbudzi;
 A pamięć jego życia w pośmiewisku ludzi:
 Kto się wyrwie nie k' rzeczy, kto się w mowie stropi,
 Dotąd go nazywają Filipem z Konopi.

Któs świadom życia jego, albo nawet świadek,
 Czystych na kalendarzu dopadłszy okładek,
 Wzorem owego czasu, z polska po łacinie,
 Zapisał te przygody, co podaję ninie.

Jam dopadł téj rzadkości — i legendę całą
Ubrał w sukienkę rytmu, jak mi się udało;
Nie klamanym affektem służę ci jak mogę,
Czerpaj ztąd, czytelniku, zbawienną przestrogę.

Choć się uczucie w piersi, myśl do głowy cieśni,
Choćbyś jaśniej przeglądał niż twoi współcześni,
Nie śpiesz się (moja rada) mówić do słuchaczy,
Co twe serce przeczuwa, co twe oko baczy.
Nieidź za gorącemi twój duszy popędy;
Co ci korzyść przynosi dopatruj się wszędy;
A serce miej zamknięte, chocia twarz otwartą,
Nim się na coś poświęcisz — rozważaj, czy warto?
Chowaj zimną ostrożność i w czynie i w słowie:
Bo Filipem z Konopi każdy cię nazowie.
Ognistych bohaterów minęły już lata;
Krew, łyzy i pośmiewisko — taka ich zapłata.

WYJĄTEK Z LISTU
DO K. WŁ. WOJCICKIEGO.

Głowę do trumny złożę w weselu,
Jeżeli pójdą za moją trumną
Ci, co kochałem... to nazbyt tłumno.
Bo ja kochałem wielu... oh wielu!
Ja śmiałych chęci nie puszczałam dalej,
Niech tylko przyjdą, co mnie kochali!

Co mnie kochali wiernie a szczerze
Nie wielka liczba: dwoje czy troje,
Niechajby przyszli i wrogi moje,
I tych się może ze trójka zbierze.

Tak na pokładzin moich obrzędzie,
Summa sumarum sześć osób będzie,
 A siódmy pójdzie Kapłan życzliwy,
 A ósmy dzwonnik, czegoż potrzeba?
 Dziewiąty — wietrzyk z rodzinnój niwy,
 Dziesiąty — deszczyk z naszego nieba.

W takim orszaku, niechaj mię żwawo
 Wilgotnój ziemi pościel otuli;
 Niech mię pokropią kropelką łzawą,
 I zaśpiewają łacińskie *luli!*
 Ukołysany, rad z mojej doli,
 Boleści życia wyśpię powoli.

KOLEDA.

(Wiersz napisany do Kalendarza J. Jaworskiego).

My przed wami dziś stajem

Staroświeckim zwyczajem,

W Nowy Rok niesiem piosnkę w ofierze;

Gdy nadzieją duch rośnie,

Kolędujem radośnie,

Posłuchajcie nas szczerze!

Narodzony Syn Boży,

Niech swe serce otworzy,

Kędy skarb nieprzebrany, bogaty;

Niechaj gwiazda trzech króli

Promieniami otuli

Wasze głowy i chaty.

Częstochowska Maryja

Waszym modłom niech sprzyja,

W dobry czas niech ją prośba poruszy;

Niech się krzewią szczęśliwie

Zboża na waszjćj niwie,

A cnoty w waszjćj duszy.

Po nad miasty, nad wioski,

Niechaj czuwa duch Bozki,

Dary łask niech rozsypie w narodzie;

Czy biesiada, czy praca,

Niech wam serca obraca—

Ku miłości i zgodzie.

A Opatrzność co chwila,

Niech was groszem zasila,

Szczęść wam Bóg! i panowie i prości!

Mając grosza obficie,

Toć Kalendarz kupicie,

Liczyć dzionki radości.

PIOSNKA
WIEŚNIACZKI LITEWSKIEJ.

Kiedy smutno roję,
 Kiedy cierpię wiele,
 Gorzkie dumki moje,
 Z kim ja was podzielę?
 Któż mój ból uleczy?..
 Prózno głos mój trudzę:
 Zimny ród człowieczy
 Na boleści cudze.

Czy się matce zwierzę?
 Lękam się jój złości...
 Powiem siostrze szczerze —
 Siostra pozazdrości...
 Brat nie pojmie rzeczy...

Próżno głos mój trudzę:
 Zimny ród człowieczy
 Na boleści cudze.

Gdy mi duch upada,
 Kiedy iza się leje,
 Sąsiadka ogada,
 A sąsiad ośmieje.
 Któż się śmiać zaprzeczy! ?
 Próżno głos mój trudzę;
 Zimny ród człowieczy
 Na boleści cudze.

Luby mój, jedyny,
 Cała ma otucha:
 On dumkę dziewczyny
 Zrozumie, wysłucha!
 On mój ból uleczy,
 Głosu nieutrudzę...
 Zimny ród człowieczy
 Na boleści cudze.

ŻEBRAK Z RZEMIOSŁA.

КНИЖКА ЗА ПЪРВО КЛАССНО УЧЕБНО ПОСОБИЕ

ŻEBRAK Z RZEMIOSŁA.

Gawęda.

I.

Panie Jakóbie! ot jeszcze do pary
Powieć Waszmości jeden koncept stary,
Zkąd się przysłowie rozeszło powoli,
Że człowiek sprawca sam swojej niedoli.
Ot u nas widzisz jest ludzi gromada,
Co to, jak mówią, na dwóch stolkach siada,
Co przez zbyteczną usłużność gotowi
Dać świeczkę Bogu a dwie szatanowi.

Szatan, łakomy na światło jarzące,
 Najpierw i w takich pochwytuje w ręce,
 I za dwóbarwne a niepewne zdanie
 Tęgiego figla plata niespodzianie.
 Posłuchaj Waszmość.

Pod krzyżem przy drodze
 Siadywał żebrak o drewnianej nodze;
 Miewał przy sobie, jak zwykle żebracy,
 Różaniec, stólek, krucyfix na tacy,
 Stare kantyczki, dwie torby, dwa kije,
 I drżącym głosem śpiewał litanije.

A tam gościniec trawą nie zarasta:
 Jedni do miasta, drudzy idą z miasta;
 A żebrak rodem z tój samój krainy,
 Znał tu każdego z postaci i z miny,
 Starych i młodych, niewiasty i dzieci,
 Panów i żydów, mieszczanów i kmiaci,—
 Wiedział kto dobry, a kto jest ładaco;
 Ale przed każdym pobrząkiwał tacą,

Każdemu śpiewał piosnkę jednej miary:
„Niechaj Bóg twoje poszczęści zamiary!”

II.

A nasza próżność, to już rzecz wiadoma;
 Nazwie marszałkiem pana ekonomą,
 Albo szlacheica panem wojewodą,
 Albo dziewczynę kwiatkiem czy jagodą,
 Wójtem wieśniaka, kapralem żołnierza —
 A trzygroszówki lecą do talerza,
 I w jego sakwach gromadzi się żywo
 I chleb miastowy i wiejskie mięsiwo.

Jeszcze tu żebrak nienagrzeszył dużo,
 Gdy nazwał dziewczę jagodą lub różą;
 Gorzej mu nieraz pobiłdź się zdarza,
 Gdy zacnym panem nazywał zbrodniarza;
 Tchórza rycerzem, dzwonnika plebanem,
 A samoluba miłosiernym panem.

Wiedział to żebrak; bo znał swe sąsiady;
 Lecz myślał sobie: niema inszej rady,
 Trzeba się modlić i po tacy dzwonić,
 Kto wart, czy niewart nizko się pokłonić,
 I wzniosłszy oczy powtarzać bez miary:
Niechaj Bóg twoje poszczęści zamiary.

III.

Raz xiądz Bernardyn idący po kweście
 Rzekł do żebraka: „Niesłuszni jesteście;
 „Bo nie każdemu i nie w każdej porze
 „Godzi się mówić: *niech ci Bóg pomoże!*
 „Wszak tutaj różny snuje się przechodzień,
 „Może zły człowiek, może jaki zbrodzień,
 „Co złe zamysły w swoim sercu chowa—
 „Czyż za każdego modła jednakowa?
 „Wszak jeśli Pan Bóg spełni twoje modły,
 „To niewinnego pokrzywdzi człek podły,
 „Oszust prostaka otumani zdradnie,
 „Zbójca rozbije, a złodziej okradnie.

„Nie możesz wiedzieć, co każdy z nich myśli,

„Więc z twemi słowy rachując się ściślej,

„Nie mów każdemu, przyjacielu stary:

„*Niechaj Bóg twoje poszczęści zamiary!*

„Radzę ci mówić sumiennie i prawiej:

„*Dobrym zamysłem niech Bóg błogosławi!*”

IV.

— „A! Mości xiężu! co mi tam do tego,

„Z jakim zamysłem i gdzie ludzie biegą?

„Czy sprawa dobra? czy niesprawiedliwa?

„Ja jestem żebrak, mnie trzeba grosiwa;

„Niech złodziej kradnie, rozbojnik zabija,

„Ja mojej sakwy, ja pilnuję kija,

„Ja z modlitwami każdemu usłużny,

„Kto mi da chleba, albo grosz jałmużny,

„Na to ubogi, że Majestat błaga:

„Niechaj każdemu Pan Bóg dopomaga!

„Przebac, co powiem: to szkrupuly głupie!

„Grosz na tabakę daj, xiężę biskupie!

„A jak tam sobie będziesz żyć w klasztorze,

„Mniejsza mi o to — *niech ci Bóg pomoże!*”

V.

Xiądz kwestarz westchnął na taką ślepotę,
 Rzucił starcowi na tacę dwa złote,
 A żebrak dalej w rzemiosło nędzarza!
 Ludziom pochlebia, a Boga obraża!
 Były to czasy Sudermańskiej wojny,
 Wszędy po kraju snuł się żołnierz zbrojny,
 Ci za Zygmuntem, ci przeciw Zygmunta,
 Ci palą wioski, ci pustoszą grunta,
 Ci bronią kraju, a o drugich pisze,
 Że w pierś ojczyzny wbijają bardysze.
 A żebrak widzi, jak tam wioski gorą,
 Jednak żołnierstwu kłania się z pokorą:
 „Trzeba napełniać moją sakwę biedną,
 „Czy Szwed, czy Zygmunt, to mi wszystko jedno,

„Moja ojczyzna krzyżyk i rozdroże,
 „*Niechaj im wszystkim Pan Bóg dopomóż!*”

VI.

Gdy Szwedzi idą palić nasze sioła,
 Żebak się kłania, o jałmużnę woła,
 A gdy jałmużnę na tacę położą,
 On pomoc dla nich przywoływa Bożą.
 A kiedy Szwedów pokonywać śpieszy
 Półk petyhorski, pancerny lub pieszy,
 Znow żebak bije pokłony usłużne:
 „Dajcie, rycerze biednemu jałmużnę!
 „*Niech w waszych piersiach krzepi się odwaga,*
 „*Niech waszym włóczniom Pan Bóg dopomaga!*”
 A tak, czy Szwedzi, czy idą Sarmaci,
 Każdy za modłę żebakowi płaci;
 A żebak w służbie Chrystusa i czarta
 Miedziane grosze do swych sakiew zgarta,
 Choćby Nogajscy naszli Tatarowie,
 Gotów się modlić za szczęście i zdrowie.

I tak za Szwedzkie i Polskie proporce,
 Modląc się zebrał — miedziaków dwa korce:
 Więc włokę ziemi zakupił za korzec,
 Za drugi sobie pobudował dworzec;
 I z włoki gruntu miał dobre intraty,
 A że gościniec był blisko od chaty,
 Przeto, jak dawniej, pokorny, usłużny,
 Siedział przy drodze i zebrał jałmużny.

VII.

Gdy żebrakowi tak dobrze się dzieje,
 Pewnego ranka, idą dwaj złodzieje,
 I jeden mówi: „Otoż losy szczęsne,
 „Jezeli sakwy starego wytrzęsnę!
 „Toż mówią ludzie, groszowity sztuka
 „I ztąd i z owąd swoich zysków szuka!”
 Drugi odпові: „Oho! znam ja dziada!
 „Ma tam i w chacie zapasy nielada;
 „Nieraz tam zajrzeć brała mię ochota,
 „Ale brytana uwiązał we wrota.

„Jakżebym pragnął obrać go do naga!

„*Moim zamysłem niech Bóg dopomaga!*”

Przeto złoczyńca chcąc skusić biedotę,
 Idzie do starca, rzuca mu dwa złote,
 I wpół ze śmiechem dobrotliwie rzecze:
 „Pomódl się za mnie, poczciwy człowiecze!”
 A stary żebrak, choć znał, że to złodziej,
 Lecz myśli sobie: co mię to obchodzi?
 Złożył kantyczkę, wsparł ręce u kija,
 Mówi Ojczy nasz i Zdrowaś Maryja,
 I kończy pacierz swoją zwykłą drogą:
 „*Twoim zamiarom niech Nieba pomoga!*”

VIII.

I w mgnieniu oka jego prośby słowo
 Na skrzydłach wiatru stało przed Jehową.
 I rzekł Przedwieczny do aniołów grona:
 „Jego modlitwa niech będzie spełniona!”
 Stało się tedy — a złodziej nieznacznie,

O różnych rzeczach zagadywać zacznie:
 Pyta żebraka, jako mu się wiedzie?
 Ile lat liczysz? kto idzie? kto jedzie?
 A żebrak wdzięczny za uprzejmość taką,
 Gwarzył z przechodniem, częstował tabaką,
 Życzył mu szczęścia — a złodziej w gawędzie
 Zręcznie mu z sakiew grosze wydobędzie,
 Chleb i owoce i zapasy różne,
 Co może w tydzień zebrał przez jałmużnę.
 Żebrak nie postrzegł, tak zawzięcie gadał,
 Kiedy go złodziej do szczytu okradał:
 Bo Pan Bóg jego wysłuchał pacierze
 I złodziejowi *szczęściło się szczerze*.

IX.

Tymczasem drugi skrada się do chaty,
 A brytan groźny, ogromny, kudłaty,
 Zamiast zaszczekać i naszożyć paszczę,
 Jeszcze się do nóg złodziejowi głaszcze.

A ten szczęśliwy, że się brytan garnie,
 Splondrował skrzynie, zasięki, spiżarnie;—
 Tu mu się dobrze pożywić wypadło:
 Znalazł pieniądze, napitek i jadło,
 I sutą odzież, kożuchy i świty,
 Wszystkiego, panie, zapas znakomity,
 Że jedném słowem, można mówić śmiało,
 Tylko ptaszego mléka nie stawało.
 Złodziej nie głupi — a jak się zawinie,
 Wszystkie zapasy uprzął w godzinie,
 A tak sumiennie był pracy oddany,
 Że nawet ćwieki wyciągnął ze ściany:
 Więc pośpiewując po sowitém żniwie
 Poglaskał psiska i poszedł szczęśliwie.

X.

Wieczorem żebrak aż krzyknął z rozpaczy,
 Kiedy swą szkodę podwójną zobaczy,
 Aż targa brodę, aż płacze, aż mdleje,
 Przeklina siebie i psa i złodzieje;

A bardziej jeszcze po sercu mu bodło,
 Że mówił pacierz, by się im powiodło.
 Wytaczać skargę na niewiele zda się,
 Xiędza kwestarza wspomniał po niewczasie,
 I już naprawdę jak nędzarz ubogi
 Płaczliwym głosem żebrował u drogi.
 Lecz po nauce, po ciężkiej goryczy,
 Już nie każdemu powodzenia życzy,
 Lecz kończąc pacierz dodaje w pokorze:
 „*Dobrym zamysłem dopomagaj Boże!*”
 Modlił się, kiedy wdzięczność go uniosła,
 Ale już nie był żebrakiem z rzemiosła.

Śmiano się z niego i długo i szczerze:
 „Ja cię okradnę — mów, dziadku, pacierze!”
 A ztąd przysłowie powstało powoli:
Że człowiek sprawca sam swojej niedoli.

D. 19 Grudnia 1855.

KALEJDOSKOP JARMARKOWY.

STUDIUM FANTASTYCZNE.

Wieczna myśli któraś jest daléj niż od wieka,
Jeśli cię też to rusza co czasem człowieka
Wierzę że tam na niebie masz mięsopust prawy
Patrząc na rozmaite tego świata sprawy:
Bo leda co wyrzucisz, to my jako dzieci,
W taki treter że z sobą wyniesiem i śmieci,
Więc temu rękaw urwą, a ten czapkę straci,
Drugi téj krotchwile i włosy przyplaci,
Nakoniec niefortuna albo śmierć przypadnie.

J. KOCHANOWSKI.—Fraszek Xięgi I.

KALLIDOROP JARBAROWE

STUDIUM FANTASYCUM

Wiederum wird dieses Werk nicht nur als
Jahrbuch der Kunst zu betrachten
Wiederum ist dies ein Werk, das die Kunst
Fortschritt zu bringen und die Kunst
Die Kunst zu verstehen, ist die Kunst
Wiederum wird dieses Werk nicht nur als
Jahrbuch der Kunst zu betrachten
Wiederum ist dies ein Werk, das die Kunst
Fortschritt zu bringen und die Kunst
Die Kunst zu verstehen, ist die Kunst
Wiederum wird dieses Werk nicht nur als
Jahrbuch der Kunst zu betrachten
Wiederum ist dies ein Werk, das die Kunst
Fortschritt zu bringen und die Kunst
Die Kunst zu verstehen, ist die Kunst

KALEJDOSKOP JARMARKOWY.

ŻYDZI.

Tutaj są różne towary,
Do nas proszę uniżenie;
Na uczciwość i sumienie,
Tu słuszne wagi i miary!
Rarytnych rzeczy do syta,
Wszystko za bezcen przedamy;
Niech tylko jegomość spyta,
 Prosim do kramy!
 Stare bretnale,
 Lipskie perkale,

Szklanne paciórki,
 Zajęcze skórki,
 Sledzie, cukierki,
 I tabakierki;
 Tanio przedamy,
 Prosim do kramy!

KUGLARZ.

Artysta znany u świata,
 Przez swoją biegłość mistrzowską,
 Czarodziejski akrobata,
 Piérwszy uczeń pana Bosko,
 Co swych talentów dał próby
 W piérwszych miastach Europy...
 Pół złotego od osoby!
 Proszę do szopy!
 Skoczy na linie,
 Młynka wywinie,
 Przyszłość przepowie,
 Stanie na głowie,

Puści mgłę w oczy,
Przez kij przeskoczy
Na cztery stopy!..
Proszę do szopy!

(*Duo*).

ŻYDZI.

My tanio wszystko przedamy

KUGLARZ.

Jam artysta z Europy

ŻYDZI.

Prosim do kramy!

KUGLARZ.

Prosim do szopy!

SIEROTA.

Jestem dziewczyna sierota,
Z bratem zostaliśmy sami,
Zbieramy ziółka u płota
I żebrzemy pod oknami,

Nocuję w słomianej budzie
 Gdy się do chaty nie wproszę.
 O ludzie, dobrzy wy ludzie,

Dajcie trzy grosze!

Chora, wybladła,

Jeszczem nie jadła,

Moja sukmana

Stara, porwana,

A tutaj jeszcze

Febry mam dreszcze.

Dobrzy panowie,

Ja pacierz zmówię,

Boga poproszę,

Dajcie trzy grosze!

(*Trio*).

ŻYDZI.

Pomada! cukier! kalosze!

KUGLARZ.

Ja młynka w górze wywinę

SIEROTA.

Wspomożcie biedną dziewczynę,
Rzućcie trzy grosze!

CYGAN.

Tak jak kocham Pana Boga,
Jak kocham żonę i dzieci!
To szkapka wcale nie droga,
Kończy rok drugi, na trzeci
Tak.. drugi rok w Maju skończy..
Puszczam ją w paszę na błon,
A jaki panie bieg rączy!

To wiatr nie koń!

W zęby spójrzycie...

A co za życie!

Skry sypie z oka!

A pierś szeroka,

Głowa drobniutka,

Szyja nie krótka,

Grzywka sowita.

Drobne kopyta.
 Przebijmyż dłoń!
 To cud nie koń!

(*Kwartet*).

ŻYDZI.

Zajęcie skórki! bretnale!

KUGLARZ.

Na linie skoki dam chyże!

SIEROTA.

Obdarzcie biedną wspaniale!

CYGAN.

Patrzcie jak uszkami strzyże!

XIĘGARZ.

Niechże publiczność łaskawa
 I mojej firmy nie mija,
 Co ma Lwów, Poznań, Warszawa
 Co się z pod prassy odbija,
 Co jest w literackim świecie,

Wnet mi transportem przylata,
Wszystkie nowości znajdziecie;

Dam trzy rabata!

Anna Nakwaska,
Pamiętnik Paska,
Złote ołtarze,
Rzecz o browarze,
Wspomnienia Romy,
Sfinxa trzy tomy,
I xięga świata.

Dam trzy rabata!

(*Kwintet*).

ŻYDZI.

Tabaka! brzytwy! łakocie!

KUGLARZ.

Pójdę z pajacem w zapasy!

SIEROTA.

Dajcie trzy grosze sierocie!

CYGAN.

To rumak Arabskiej rasy!
 A jaka pierś pełna składu!
 A jaka nozdrza wydęta!

XIĘGARZ.

Na xiążkach mego nakładu
 Ustąpię cztery procenta.

STARY INWALID.

Patrz chłopcze gdy masz ochotę
 Jak ten drewniany koń bryka!
 Poproś u mamy dwa złote,
 Niechaj ci kupi konika.
 Jam hułan — bił się daleko,
 Chodziłem w pięknym mundurze,
 Teraz zostawszy kaleką,
 Koniki struję.

Łuk zrobię krzywy,
 Szablę z łuczywy,
 Przedam gdy trzeba,

I mam funt chleba;
 Dzieciom méj ziemi,
 Dłoni mi drżącemi
 Czém umiem służyć,
 Koniki strużę.

(Jeszcze Kwintet).

ŻYDZI.

Towary! różne towary!

KUGLARZ.

Przedstawię wam bitwę djabła

CYGAN.

Rumak przypadnie do pary!
 Patrzcie.. dziewczyna osłabła,
 Ż głodu wybladła aż sina;
 Śpieszcie ratować niebogę

XIĄGARZ.

A na podróżach Triplina
 Grosza ustąpić nie mogę.

INWALID.

Mam drewnianego rumaka,
 Z łuczywy pałasz i dzida!
 Wyborna zabawka taka
 Dla grzecznych chłopców się przyda.

NIEMIEC z ruletką.

Héj zacne, szanowne grono!
 Sprobujcie losu zdobyczy,
 Numera czarno, czerwono,
 Ja puszczyć kulkę kto życzy.
 To dziwne fortuny dziwa,
 To dziwna losow chymera!
 Bo czasem tysiąc wygrywa.
 Dwa.. trzy numera.

Wygrasz w dwa słowy:

Zegar brązowy,

Wiedeńskie piano,

Fajkę glinianą,

Brylantow skrzynię,

Pałac w Berlinie.

Héj kto wybiera?

Dwa, trzy numera!!

(*Septuor*).

ŻYDZI.

Héj czego komu potrzeba!

KUGLARZ.

Héj chodźcie patrzeć na dziwy!

SIEROTA.

Dajcie mi wody i chleba.

CYGAN.

To panie rumak prawdziwy!

XIĘGARZ.

Jaki druk! papier! oprawa!

INWALID.

Z łuczywy klinga pałasza!

NIEMIEC z ruletką.

Oto fortuna łaskawa
Swych ulubieńców zaprasza!

SZLACHCIC (do drugiego).

Kopę latek! siadaj bracie!
Stukniemy miódka a szczyrze,
Przegrałem sprawę w senacie,
Hrabia mi łakę zabierze.
Lecz process pójdzie na syny,
Niedaruję za nic w świecie.
Czy wiesz?.. ciekawe nowiny

Piszą w gazecie!

W Chinach złapali

Węża trzy cali,

We Włoszech panie,

Niespodziewanie

Śnieg wypadł latem!

Znamy się na tém..

Toż wojna przecię,

Ot co w gazecie!

ŻEBRAK (z kantyczki).

„Pewny człowiek bogaty
 „W złoto, srebro szkarłatny
 „I zbyt kosztowne szaty,
 „Jadł, pił tylko, tańcował,
 „W dzień i w noc bankietował.”..

Jaśni panowie!
 Za wasze zdrowie
 Pacierze zmówię;
 Święta Maryja
 Niechaj wam sprzyja
 I Anioł Stróż;
 Niech Bóg wspomóż,
 W domu w oborze,
 Dajcie mi grosz!

(Kwintet).

ŻYDZI.

Grzebienie! igły! pomada!

INWALID.

Do mnie tu mały a zuchy!

NIEMIEC z ruletką.

Galka na czerwono pada:

Pan wygrał klapkę na muchy!

CYGAN.

Jeżeli wierzyć nie chcecie,

To w zęby obaczcie sami

SZLACHCIC.

Takie to rzeczy na świecie

Wojna Chińczyków z Włochami!

WIEŚNIAK (do drugiego).

Ej życie, życie ladaco,

Pójdźmy się napić mój kumie!

Za zboże w pół darmo płacą,

Niech się wykręca kto umie.

Cierp duszo rada nierada!

Pan wiary nawet nam nie da.

Co rok czynsz większy nakłada,
Oj bieda bieda!

Zła była zima,
Żyta nie niéma,
Teraz posucha,
Skwarny wiatr dmucha,
I koło wiosek
Gdzie nigdzie kłosek!
Potrzeb czereda,
Oj bieda bieda!

NIŻSZY URZĘDNIK.

Chcąc dójść do celu najprościej
Tutaj odgadnie i ślepy,
Że z przedpisania zwierzchności
Trzeba obejrzeć te sklepy.
Sąd Ziemi domnie powiada,
Za numerem sto trzydzieście
Że kontrabanda nielada
Jest tutaj w mieście.

Tytuń z Hawany,
 Perskie dywany,
 Że kupcy wzięli
 Xiążki z Bruxelli,
 Że się sprzedaje
 Kitajskie czaje,
 Strzeżcie się, strzeżcie,
 Jest czujność w mieście!

(Sextet).

SZLACHCIC.

Ot idzie już święty Jerzy
 A tutaj pustki w szkatule!

KUGLARZ.

Héj! połknę gorącą kulę!

ŻEBRAK.

Zmówię dwanaście pacierzy!

URZĘDNIK.

W skutek danego ukazu...

WIEŚNIAK.

No! w ręce kumie Marcinie!

CYGAN.

Tu każdy pozna do razu
 Że krew Arabska w nim płynie.

NIEMIEC z pozytywką.

Wszak Litwa Giermanów wspiera
 Biegłych w muzykalnej sztuce,
 Dwanaście walców Lannera
 Na pozytywce zanóć!
 U kogo moneta drobna,
 Choć trzy grosze i to daj,
 Zagram każdemu z osobna

Eins, zwej, draj!

Ej kto żyw kręć się kręć,
 Póki grosz, póki chęć,
 Nim do ocz wpadnie mgła,
 Póki pierś oddech ma.
 Jam tu szedł z cudzych stron,

Z waszych zabaw mieć plon;

Ej wesolyż to kraj!

Eins, zwej, draj! eins, zszwej, draj!

LITERAT.

Chętnie studjuję te wrzaski,

Pisk muzyki, rżenie koni,

Tu przyszedł każdy bez maski,

Tu serce widać na dłoni!

Ten lud nasz... te dzieci Boże,

Jaka tu zgodność choć wrzawa!

Kiedys to szerzej wyłożę

Będzie rozprawa!

Zatłę skry palne

W mgły socyalne,

Z tych punktów właśnie

Żywo objaśnię

Ludzkość złączoną

W braterskie grono;

Wielce ciekawa

Będzie rozprawa!

(Duo).

NIEMIEC z pozytywką.

W Litwie dla naszych przychodni
Gotowa zawsze intrata

LITERAT.

Postęp swój blaskiem pochodni,
Narod z narodem jak brata!

WIEJSKA DZIEWCZYNA.

O Boże! mocny mój Boże!
Oczy się napaść nie mogą,
Tu wstażki kraśne jak róże,
Ale to dla mnie za drogo,
Szklanne paciórki jak cacka,
Aż je pożeram oczyma;
Oj biedna dola wieśniacka,
Że groszow niema!

Och wszyscy święci,
Głowa się kręci,
Lud kipi gwarnie,

Muzykę garnie,

Pójdę... zobaczę!

Aż serce skacze!

Ledwie wytrzyma.

Ej groszow niema!

WIEJSKI CHIRURG.

Wyjdę jak każdej niedzieli,

Wezmę mixtury i plastry;

Bo gdy się jarmark podchmieli,

Nastaje bitwa chalastry.

Będą skrwawieni, zranieni

Gdzie lecą ciosy bezładnie,

Więc do lekarskiej kieszeni

Grosz jaki wpadnie.

Niechaj się grzmocą

Kiedy jest o co,

A za opłatą

Są plastry na to,

Są i bandaże,

Jak sztuka każe,

Sprawię się snadnie,
Coś w kieszeń wpadnie!

(*Tutti*).

ŻYDZI.

Sledzie! pierścionki! wonność!
Towary w świecie jedyne!

KUGLARZ.

A teraz szanowni goście
Ja wam koziołka wywinę!

SIEROTA.

Każdy się dzisiaj nasycą...
Ja głodna cierpię tak srogo,

CYGAN.

Cha, cha, cha! znalazłem fryca
Przedałem szkapę z ułogą.

ZIĘGARZ.

Nakład przezemnie wydany
Publiczność skwapliwie chwyta,

INWALID.

Héj dziatwo! konik drewniany!
Patrzcie jak pali z kopyta!

NIEMIEC z ruletką.

Przeegrali i płaczą jeszcze!
Widzicie!.. głupie wieśniaki!

SZLACHCIC.

Głód będzie!.. nie idą deszcze!
W gazetach wojny oznaki.

ŻEBRAK.

Już się na szczydlach wynoszę,
Lud prosty—to mój Dobrodziój,
Mam siedemdziesiąt trzy grosze,
Niech Bóg stokrotnie nagrodzi!

WIEŚNIAK.

Kumie! no jeszcze po kwarcie!
Utopim biedę nareszcie

NIŻSZY URZĘDNIK.

Sąd Ziemski pisze otwarcie
 Że kontrabanda jest w mieście...

NIEMIEC z pozytywą.

No! jeszcze walec.. a żwawy!
 Czekam zapłaty od gości,

LITERAT.

Mnie te ludowe zabawy
 Przenoszą w wieki przeszłości!

WIEJSKA DZIEWCZYNA.

Ja jedna poglądam smutnie,
 Nie będę tańczyć widocznie...

WIEJSKI CHIRURG.

No! dzięki Bogu są kłótnie,
 Zaraz się bitwa rozpocznie.

*Finat.***CHOR ŻYDOW.**

Szczotki! cukierki i dlóta!

CYGAN.

Wiwat trędzel i podkowa!

KUGLARZ. RULETA I POZYTYWA.

Wiwat Słowiańska szczerota

Za wszystko płacić gotowa!

LITERAT.

Cześć postępowej pochodni!

XIĘGARZ.

Niech żyje drukarska sztuka,

CHOR PODCHMIELONYCH WIEŚNIAKOW.**SIEROTA. INWALID.**

A my i głodni i chłodni,

Niech każdy noclegu szuka!

PRZYJACIEL LUDZKOŚCI.

BRITISH MUSEUM

PRZYJACIEL LUDZKOŚCI.

GAWĘDA.

(MYŚL Z NIEKRASOW'A).

Świat coraz nowój nabiera zalety;
Naprzykład dzisiaj — już są komitety,
Gdzie starzec, wdowa, sierota, kaleki,
Liczą na wsparcie, doznają opieki;—
Nawet magnaci już w dzisiejszej chwili
Dobłą z Paryża modę sprowadzili:
Bo nie przez druki, radą lub przestrogą,
Lecz samym czynem wspierają jak mogą.

Czy wiesz, mospanie? to pocziwa moda!
Ale co dawniej — to i mówić szkoda!
Słuchajcie tylko bo Pan Bóg mi świadek,
Że dziwny w życiu raz miałem przypadek.

Niech mię Najwyższy od tego zachowa,
Abym miał gadać samochwalcze słowa;
Ale co prawda, to wyznać potrzeba!
Byłem pocziwym... i nie miałem chleba.
Mówili wszyscy, że jestem bogaty;
Intratny urząd... ale bez intraty:
Dać się przekupić, coś nie spełnić ściśle,
Aż strach, bywało, gdy o tém pomyśle.
Była drożyzna — żyj tu groszem z miasta!
Płaca niewielka, a dziatwa podраста:
Więc się bez chleba obchodzim jak możem,
Mając pod strażą magazyn ze zbożem.

Hardy z méj nędzy, prawilem z wysoka,
Że własność kraju — to żrzenica oka,

Że zbrodniarz tylko z urzędu korzysta,
Słowem: bluźniłem — jak liberalista.

Teraz, jak slysę, szczerze czy nie szczerze,

Taka zasada już cześć nawet bierze;

Wtedy przekupstwo było wszystkich hasłem:

Połknąć kubana, to jak chleba z masłem.

Ludzie mówili: „Masz rodzinę przecię!

„Ej, będzie kręto! z torbami pójdziecie!

„Rzuć, panie bracie, te fochy złowieszcze!”

A jam nie słucał, urągał się jeszcze.

Ludzie, zwyczajnie, mściwi i zawzięci,

Z politowania przyszli do niechęci.

Poczęto śledzić — a w moim wydziale,

Już się... to, owo, znalazło niedbale:

Przyszła mi bura — potem druga taka;

Nareszcie z kwitkiem puszczoneo biedaka.

Tak tedy w jednej ziściło się chwili

Wszystko, co ludzie poczciwi wróżyli;

Za jednym razem jakby z deszczem spada

I głód i zimno i przyjaciół zdrada,
 Myśmy zostali jak żebracy szczerzy,
 Ja sam w rozpacz, dziatwa bez wieczerzy,
 A żona z nędzą dać nie mogąc rady,
 Klnie moję pychę i brzydkie zasady.
 A ja bywało wstaje... gdzie przede dniem!
 Troskam się pilno o życiu powszedniem,
 Jak wół pracuję,— wciąż nędza i nędza,
 Grosz, co zarobię, grosza nie dopędza,
 Zdaje się pęknię pod nieszczęścia siłą;
 Bóg mię strzegł tylko, że się nie rozpiło.

Ale na trzeźwo, a wiernie mój cześci,
 Do dna wychylał mój kielich boleści...
 Jak tam bez miejsca, bez chleba, w rozpacz,
 Dziesięć lat przeszło— Bóg to wiedzieć raczy!

Kiedy z dnia na dzień, nasz byt taki samy,
 Niespodziewanie pismo odbieramy:
 Ze naszych nieszczęść skończyła się proba,

Że jest w stolicy szlachetna osoba,
 Mąż znakomity, jakby anioł nowy,
 Pięknego serca i potężnej głowy,
 Co swoje pióro i umysł bogaty
 Oddał na korzyść krajowej oświaty,
 Wydał pięć tomów prześlicznych powieści,
 Gdzie wykład nauk fizycznych się mieści,
 Dziełko dostępne, popularne, tanie,
 By elektryczność pojęli włościanie.

Więc ja to dzieło sprowadzam w zacisze:
 Jak tam moralnie, jak tam pięknie pisze!
 Samego siebie widzę jak na dłoni,
 Moje ubóstwo wstydem mię nie płeni,
 Moje łachmany — to obraz jaskrawy,
 Żem nie przedajny, że byłem człek prawy.
 Więc chlubna radość w oczach mi jaśnieje:
 Wolnoż mi przecię mieć dobrą nadzieję!
 Gdy ta osoba zacna, znakomita
 W sercu biedaka tak wyraźnie czyta.

Mówię do żony z radośnemi łzami:
 „Pan Bóg się wreszcie zlitował nad nami,
 „Zesłał ochronę, człeka dobrej woli,
 „Co nasze dzieci od nędzy wyzwoli.
 „Pójdę do niego— tam nasza osłoda;
 „On mię zrozumie, on mi rękę poda!”

Słowom otuchy uwierzyła żona;
 Już nasza dola jakby polepszona,
 A człowiek w przyszłość wierząc całą siłą,
 Zapomniał biedy, jakby jój nie było.
 Więc rada w radę... marzenia i plany—
 Ostatni zapas na drogę zebrany,
 Ze trzysta złotych — i otwarta ścieżka.
 Więc rozpytawszy: kto? gdzie? i jak mieszka?
 Marsz do stolicy!

Tam mieliśmy krewną,—
 Ta w swoim domu przyjmie nas zapewno;—
 Ale z krewnymi sam czart piwo warzy:
 Przyjęła zimno, wstydząc się nędzarzy!

Więc myślę w duchu: a Bóg-że tam z tobą!
 Nie chcę się z moją nabijać chudobą;
 A choć nam w serce boleśnie coś bodzie,
 Nająłem numer w zajezdnej gospodzie.

Całą noc Bożą nim słońce zaświeci
 Modlą się za mnie i żona i dzieci...
 A ja raniutko do zbawcy wychodzę,
 A serce bije niespokojnie srodze.
 Idę ulicą, i drżący jak listek,
 Myślę, co powiem? jak żywot mój wszystkim
 Pokróctce skróślę?—

Powiem mu najprościej:

„Panie! ja ginę z głodu i starości!
 „Mogłem coś zebrać; ale cnotę cenię,
 „Bo wiem, co znaczy i Bóg i sumienie.
 „Gdy tysiąc potrzeb na głowę się kupi,
 „Myślałem sobie — o głupi ja głupi!
 „Inaczéj myśląc dziś zebrałbym krocie —
 „I złorzeczyłem mojej własnej cnotcie!

„Lecz twoje dzieło! twoje złote dzieło!
 „Czystą mi prawdę w oczach rozwinęło:
 „Jam chlubny z siebie... ale żyć nie łatwo,
 „Ale jam nędzarz i z żoną i z dziatwą!
 „Ty, co pojmujesz, jak to serce boli,
 „Szlachetny mężu, ratuj mię w niedoli!”

Rzecz ułożyłem i wchodzę do sali:
 Uprzejmi słudzy już znać o mnie dali.
 Wyszedł mąż zacny—spójrzałem i drgnąłem,
 Pot mi kroplami wystąpił nad czołem,
 A mowa moja tak rzewna, tak czuła,
 Całkiem się z biednej pamięci wysnuła.
 Jąłem bełkotać ogólniki, frazy,
 Trę głupie czoło i raz i dwa razy,
 Nic nie przypomnę—Pan Bóg wie co prawię,
 A wszyscy na mnie patrząją ciekawie.
 —„Czego pan żądasz?”—spytano uprzejmie;
 Lecz znowu przestrach mowę mi odejmie:
 „Ja żądam... żądam!”.. Tutaj myśli nawał,

Co człowiek marzył, co w życiu doznawał,
 Wszystko, co cierpiał, co ma cierpieć jeszcze,
 Stało się widmem — i szpony złowieszcze,
 Wpiło do serca... a nogi się słonia;
 Ja stary głupiec czoło cisnąc dłonią,
 Ryknąłem płaczem, nie pomnąc, co robię,
 Przy znakomitej a ważnej osobie.

Ten płacz był śmieszny — na moim mundurze,
 Barwa spłowiła i dwie plamy duże:
 Więc dobroczyńca, opiekun ludzkości,
 Żem ja pjanica wnioskował najprościej —
 A pokojowiec wziął burę od pana,
 Że tutaj weszła postać podejrzana.
 Chciałem coś mówić, lecz pan tupnął nogą, —
 Czulem, że skargi, że łzy nie pomogą!
 Gdybyż przynajmniej użył ręki swojej,
 I raczył wypchnąć sam ze swych podwoi!
 Lecz — nawet takićj nie udzielił cześci:
 Gdym się postłonił z wstydu i boleści,

Przyszli hajdacy, a szarpiąc mię srodze,
 Wzięli pod ręce, wlekli po podłodze,
 Gdy się szamocę, gdy wyrwam ramie,
 Pchnęli ze schodów, żem upadł przy bramie.

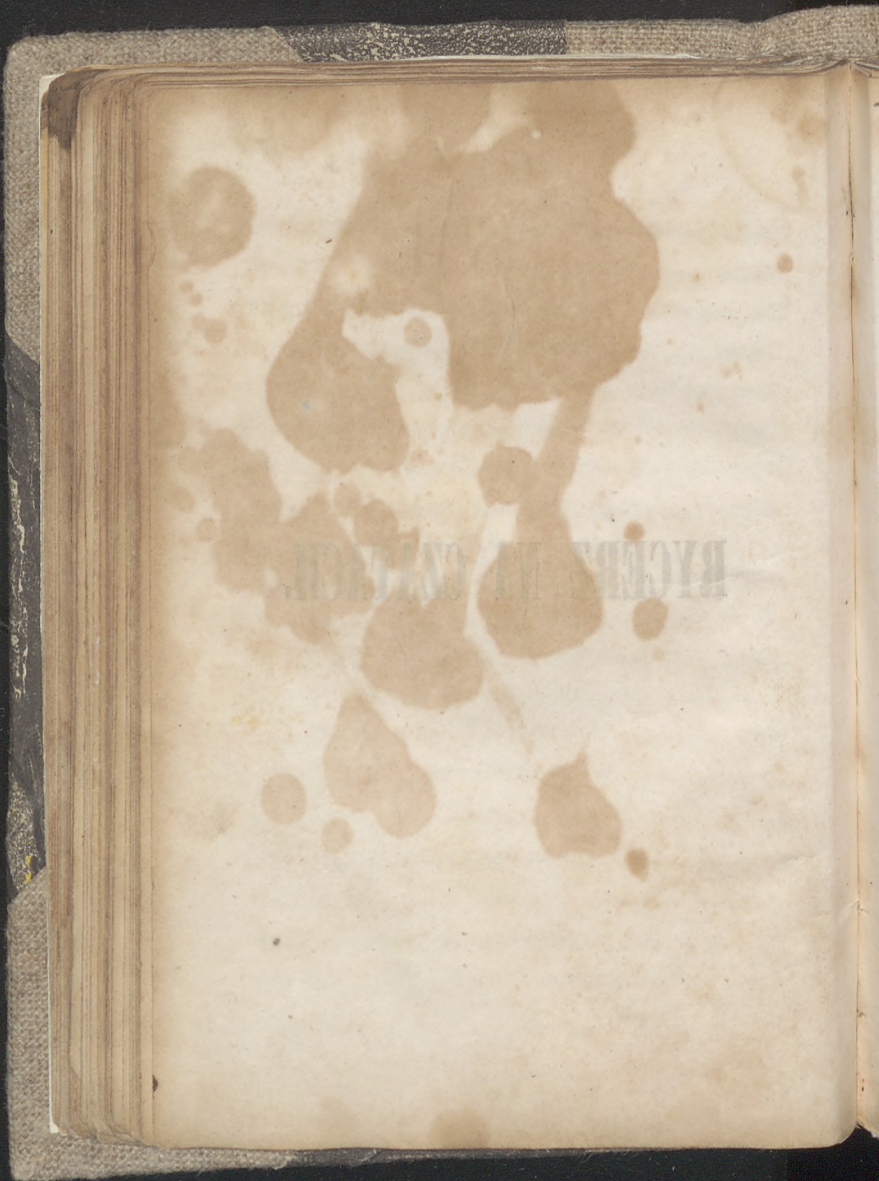
Zlany jak wrzątkiem, zhańbion tak dalece,
 Biegłem ulicą nie pomnąc gdzie lecę,
 I nóg nie czując... w końcu wiatr zimowy
 Jakoś przytomność wrócił mi do głowy.
 Rzucam oczami naokoło siebie:
 Tu niosą jakieś mary po pogrzebie,
 Tu na tablicy czytam piwowarnię,
 Tam lwa zobaczyć tłum ludu się garnie,
 Tam cerkiew', cmentarz, rajtszula i szkoła,
 Szpital, wexlarnia i mury kościoła,
 Magazyn mody, drukarnia — a za nią:
 „Tu różne trunki sprzedają się tanio.”

Zajdę... czy raczej wstrzymam się na wodzy?...
 Wszedłem... cóż dalej?... bracia moi drodzy!

Już od gawędy zachrzypło mi gardło...
Od lat trzydziestu uczucie zamarło...
Na co uczucie? dla kogo? w téj chwili?...
Dzieci, pjanicę ojca opuścili;
Żona wróciła w swe rodzinne strony,
Na jój mogile tkwi krzyżyk omszony.
Choć całe życie nie było w niéj złości,
Klęła przed zgonem świeczniki ludzkości.

Dziwniż to ludzie! o sto mil dokoła
Za dobroczyńców ludzkość ich obwoła,
Piszą, drukują, o postępie gwarzą;
Lecz zbliż się do nich— twarz zetknij z ich twarzą,
Och! jakże na nich zawiedziesz się srogo!
Pjanicy z głodnym rozróżnić nie mogą!

RYCERZ NA CZATACH.



RYCERZ NA CZATACH,
CZYLI PIEŚŃ RYCERSKA O HERBIE ŁŻAWA.

(Z podania heraldycznego *).

I.

Kiedy panował w Polsce Biały Leszek,
W czasach niezgody i krwawych zamieszek,
Żył, jako stara kronika wspomina,
Rycerz Belina.

*) Ob. Niesiecki pod tym herbem. Dla wierniejszego oddania kolorytu użyliśmy staroświeckiej formy, dykeyi i chrapowatości wiersza.

A herb miał dawny, jak świat zapamięta:
Na hełmie ręka rycerska ucięta,
Na tarczy zasię z krzyżem miecz stalowy,
I trzy podkowy.

Zrodzon szlachcicem, choć miał miękkie serce,
Musiał rad nierad oddać się żołnierce,
Kędy się zuczył, zręczniejsz niż my piszem,
Machać bardyszem.

Dodawszy k' temu żelazną kolczugę,
Pancerz kowany i kopiję długą,
I hełm z wizerem do okrycia powiek,
Straszny był człowiek!

Swego rumaka, co wolałby paszę,
Strojno, rycersko zakowywał w blasze,
Czaprak, nagłównik, napierśnik i siodła,
Blacha obwiodła.

Bo rycerz bywa w rozmaitej doli,
 Lepiej się okryć bezpieczeństwa gwoli:
 Bo ani strzała, ni miecza zamachy,
 Nieugną blachy.

Nieszczęście jeno, że gdy dusza trwożna,
 To serca blachą zakować nie można,
 A choćbyś zakuł, to i w takiej zbroi,
 Jeszcze się boi.

Rycerska służba krwawego Gradywa,
 Dobrze zważywszy, nie wielce strasliwa:
 Gdy inisi niosą na szwanek swoje zdrowie,
 Ukryj się w rowie.

A gdy wygrana, gdy twierdza zdobyta,
 Kiedy żołnierstwo do łupów się chwyta,
 Wymknij się naprzód, a łupu dopadłszy,
 Bierz co bogatszy.

A takim kształtem kierując swe życie,
 Mieszek i chwała urosną sowicie,
 Zwłaszcza gdy rycerz, wróciwszy z oddali,
 Huczno się chwali.

Tak doświadczeniem własnym nauczony,
 Sprawiał Belina rzemiosło Bellony,
 Z chrobremi męże, wielkich czynów chwala,
 I nań splywała.

A choć na wojnie krył się za rycerzy,
 Chociaż się strachał gdy trąba uderzy;
 Lecz krzepiąc serce a mówiąc pacierze,
 Wawrzyny bierze.

II.

Pewnego razu, gdy z hufcy polskimi
 Bojował Roman, Książ Halickiej ziemi,

Kędyś nad Sanem w granicach sąsiada,

Nocleg przypada.

Zwolniono konie, puszczone na paszę,

Odjęto helmy, odpięto pałasze,

I wedle ognisk drużyna szczęśliwa,

Wczasu zażywa.

A jak rycerski obyczaj mieć każe,

Dokoła gęste postawiono strażę,

A dalej czaty wkrąg obozowiska,

Stały zbliżka.

Więc na pagórku, gdy się noc poczyna,

Przodową czatę sprawował Belina;

Takie hetmańskie było rozkazanie,

(Odpuść mu Panie!)

Samemu... w polu,... w pośród nocnej głuszy,...
 Toć i najśmielszy upadnie na duszy:
 Wróg w każdej chwili, niedopuszczaj Boże,
 Uderzyć może.

A tutaj xiężyc, jak na złość, na zdradę,
 Ciska z za chmury swoje światło blade;
 Przy jego blasku kamień, krzak, lub trawa,
 Człkiem się zdawa.

A tu las blizki gałęzie rozpostrze,
 Tu sterczą jodły jakby włóczeń ostrze,
 Wiatr je kołysa, chwieją się konary,
 Jak dzikie mary.

A szelest wiatru, co swe tony zmienia,
 Wielce podobien do jazdy tętnienia,
 Zgadnij kto mądry, czy to Ruskie syny,
 Czy krzak leszczyny?

Tak sobie w myślach rozważa Belina,
Niesprawiedliwość hetmańską przeklina,
Modli się, słucha, patrzy nadaremno,
Bo wszędy ciemno!

Jak ów syn puszczy, ce zającem zową,
Uważnym słuchem, z podniesioną głową,
W jesienny wieczor rozważa i bada,
Jak liść opada.

Słupi się, staje i strzela oczyma,
Wprawdzie nie blednie (bo rumieńca niema),
Lecz byle szelest posłyszał z daleka,
W pole ucieka.

Tak mąż Belina, wśród nocnych straszydeł,
Zazdrości orłom ich potężnych skrzydeł,
Chciałby od wiatru, xiężyca i lasu,
Uciec zawczasu.

I jak polityk każdą rzecz oblicza:

„Na co ta wojna z xiążęty Halicza?

„Jakowa korzyść i w jakowym względzie,

„Polsce przybędzie?

„A zresztą... nie wiem... i korzyść być może;

„Lecz taki hetman, to pozał się Boże!

„Po co na czaty, kędy pewno zginę,

„Wysłał Belinę?

„Zważywszy zresztą Opatrzności plany,

„Zmrok ciemnej noey na to został dany,

„By szlachcie sławny parentelą znaczną,

„Wyspał się smaczno.

„Jam przecię szlachcie i spalbym ochoczo;

„A jak, broń Boże, Rusiny oskoczą,

„Zabiją... zginie dostojność jedyna,

„Mój herb Belina!”

Więc patrzy, słucha, myśli po kolei,
 Posłannik niebios — sen oczy mu klei,
 I chrobry rycerz na swój chrobrej szkapie,
 Snem twardym chrapie.

We śnie rozważa najmądrzej, najprościej:
 Że sen jest tylko przedsionkiem wieczności,
 I że Rusini wnet na śmierć złowrogą,
 Posłać go mogą.

Śpi ciało męża, ale czuwa dusza,
 I oto marzy: że las się porusza;
 Że nieprzyjaciół tysięcy tysiące,
 Skacze po łące;

Że sam książę Roman już pali z kopyta,
 I chobrą ręką za gardło go chwytą...
 „Ratuj, kto poczeiw z Sarmackich rycerzy!
 „Kto w Boga wierzy!”

Tak ze snu krzyknął, i w nogi od lasa,
Porywa trąbkę wiszącą u pasa,
I z całych piersi swój sygnał złowrogi,
Zagrał do trwogi.

Wśród ciemnej nocy, góry i doliny,
Odpowiedziały na sygnał Beliny;
W obozie popłoch wywołało hasło,
Sto trąb zawrzało.

„Na koń, rycerstwo!” chrobrzy hetman woła:
Trwożliwy bezład zakipiał do koła,
Ów szuka zbroje, ów konia na dworze,
Znaleźć nie może.

Gdyby zaprawdę wrogowie w tej chwili,
Na potrwożone wojsko uderzyli,
Rycerstwo snadno w takowym bezładzie,
Trupem się kładzie.

Belina trąby obozowe słyszy,
Poznaje gwary swoich towarzyszy;
Gdzież nieprzyjaciel, co zda się szedł drogą?

 Nie masz nikogo!

Żegna się krzyżem, przetarł oczy senne,
Patrzy w ciemności otchłanie bezdenne,
Zda się coś huczy, zda się coś porusza—

 To polna grusza!!

Tymczasem wojsko do szyku stanęło,
Już się gotuje na bojowe dzieło;
Gdzie i z kim zasię? nie łatwe problema,

 Gdy wrogów niema.

Harcują w polu i czaty i straże,
Ale dokoła nic się nieukaże;
Belina wespół z drugimi harcerze,

 Zwija się szczyrze.

Radośnie krzyczy, że nie masz nikogo,
Że towarzysze spać bezpiecznie mogą,
Że to nie Rusin, ale go napadło
Senne widziadło.

Lecz po obawie znów przyszła obawa:
Bo król był srogi gdzie idzie o prawa,
Za marny popłoch nieuważne straże,
Śmiercią się karze.

Więc przeczytano wojenne statuty,
Płacze Belina w kajdany okuty,
Już kosa śmierci zawisła surowo
Nad chrobrą głową.

Król winowajcę osądzić poleca;
Zeszła się tedy sądownicza wieca,
Na której hetman i przyboczna rada,
Belinę bada.

Może go czasem wrogi przekupili,
 By dawszy sygnał w niestosownej chwili,
 Sprowadził wojsko na swoją obronę,
 W przeciwną stronę.

Rycerz Belina, mąż prawego ducha,
 Kiedy boleśnych zarzutów wysłucha,
 Przejęty strachem, pobledniał widocznie,
 I płakać pocznie.

I padłszy do nóg Białemu Leszkowi,
 Wszystko jak było, całą prawdę mówi:
 Jak liche krzaki wyobrażał z trwogi,
 Za hufiec mnogi.

Jak rozmarzony, stojący na zimnie,
 Snem niewinności małą chwilkę drzymnie,
 Jako przyśniwszy, że Rusin doń mierzył,
 W trąbę uderzył.

Król Leszek Biały w dostojnej postaci,
 Słuchał go, słuchał — i powagę traci,

A usłyszawszy, jako śnił Belina,
Śmiać się poczyna.

Wojewodowie, hetmani, kanclerze,
Każdy serdecznie za boki się bierze,
Szczerego śmiechu nie powstrzymać mocą,
Wszyscy chychocą.

Po krotochwilnym śmiechu tylu osób,
Wyroku śmierci podpisać nie sposób,—
Więc rada w radę — wydał Król surowy
Wyrok takowy:

Aby mu z herbu podkowę odjęto,
A z helmu rękę zbrojną i uciętą,
By się śmieszniemi nie wstydziło czyny,
Gniazdo Beliny.

I już rycerskie odmieniając miano,
Łżawym Belinie zwać się rozkazano;
To znaczy: kłamcą — że swemi sygnały,
Zwiódł obóz cały.

I herb ów nowy dziś *Łżawym* się zowie,
 Zostali z herbem starym — Belinowie,
 I ztąd się wiedzie w kolei wiadomój,
 Dwa różne domy.

A śpiący rycerz rozpowiadał długo,
 Że herb swój nabył wojenną zasługą;
 Lecz nieoszukał kłamliwemi słowy,
 Karty dziejowój.

Stała się znaną niedobra przygoda,
 I wiek wiekowi ze śmiechem ją poda,
 By poszła powieść z dziadów aż na wnuki,
 Dla ich nauki.

III.

My potomkowie protoplastów owych,
 Zeszliśmy z dawnych warunków dziejowych:
 Zamiast jak starzy wywijać bardyzem,
 My xiążki piszem.

Dziś mądra ludzkość kiedy śpi po trudzie,
 Rozstawia czaty — a piśmienni ludzie
 Winni dać hasło: gdzie? u jakiej drogi,
 Postępu wrogi.

Biadaż ci, biada, piśmienny skrypcorze!
 Jeśli ze strachu kędyś w nocnej porze
 Dasz mylne hasło — wzbudzisz mylne czyny,
 Wzorem Beliny!

I zamiast tego, co widzisz na straży,
 Będziesz nam bajać, co ci sen wymarzy,
 Gdy marną trwogą twój sygnał poruszy,
 Nasz spokój duszy!

Bo mszcząc się ludzkość za oblędu winę
 Nazwie cię *Łżawym*, jak męża Belinę,
 Z twojego kłamstwa przez wieków koleje,
 Świat się naśmieje.

ŁOWIEC.

URYWEK.

Łowy, to mężów zabawa jedyna,
 We krwi Litewskiej jest do nich ochota;
 Jeszcze za czasów xięcia Gedymina,
 Litwin niedźwiedzie, Litwin żubry grzmota.
 I dziś my jeszcze do myśliwstwa zuchy,
 Zawsze lubimy bohatérski polów;
 Gdy nie ma dzików, niedźwiedzi, bawołów,
 Strzelamy bąki, polujem na muchy.

Daj Boże połów szczęśliwy a gracki!
 Niech żyje postęp! niech żyją przechadzki!

Czas siwobrody—to wróg twój, człowieku!
Zabicie godzin—to wielkie zadanie!
 Ale myśliwy dzisiejszego wieku,
 Wyborne środki już przemyślał na nie.
 Wist szelągowy... gawędka w gromadzie,
 A czasem ziewnąć lub drzymnąć tak miło;
 Chwila po chwili już trupem się kładzie,
 I dzień ucieka, jakby go nie było.
 Myśliwiec chlubny, że mądrą ma głowę,
 Na trupie *czasu* pije pogrzebowe.

Po swym tryumfie gdy do domu wraca,
 Zasypia pełen błogiego wesela,
 Śni mu się jeszcze całodzienna praca,
 Że łapie muchy, że do bąków strzela.
 Sen zasłużony kołysa mu łoże,
 Wyrzut sumienia w oczach mu nie stoi,

Nigdy z Tytusem skarżyć się nie może:
 „Dzień utracilem, przyjaciele moi!”
 Jedyną przykrość doznaje w swym losie,
 Gdy czasem mucha załechce na nosie.

Mąż wyćwiczony w bojowém rzemiośle,
 O jój zamachy nie troszczy się wiele;
 Na marny owad pogląda wyniośle,
 I trupem wroga skrzydlatego ściele...
 Po takim życiu gdy umrzeć wypadnie,
Zabójca czasu i pogromca muszy
 Na wypoczynek do grobu się kładnie,
Zabijać wieczność w spokoju swój duszy.
 Snadź o fortuném polowaniu marzy,
 Bo widać spokój na łowieckiej twarzy.

Kiedy śmierć innym zajrzy oko w oko,
 Jakże są przy nim i śmieszni i mali,
 Ci co marzyli ideję głęboką,
 Którzy się ludźmi czynu nazywali!

Wielkie ich serce napróżno się truzdi,
Jedyna korzyść — sumienia wyrzuty,
Ich bój z ciemnotą, z egoizmem ludzi.
Niedokończony, zaledwie zasnuty.
Chcieli szatana zabić swemi czyny,
A nie zabili — nawet much seciny.

G R A C Z E.

OBRAZEK.

(Forma i myśl z Puszkina).

Zasiedli społem:
Każdy nad stołem,
 Wsparty,
A każdy w wiście,
Bił zamaszycie,
 Karty.

I tylko czasem,
Przerwą z hałasem,
 Ciszę;

Każdy na desce,
Kredą po kresce,
Pisze.

I wiada spory,
Lewy! honory!
Krzyczą;

I znowu w szyki,
Trefy i piki,
Liczą.

Po każdym robrze,
Stuknęli dobrze,
Starki;

I znów nad stołem,
Zwiesili społem,
Karki.

NAPOLEONISTA.

(OBRAZEK).

Honorowy krzyż na fraku,
 Wąsy zawiesiste,
 Jedna ręka na temlaku,
 Masz Napoljonistę!

Babia czułość nieraz błysnie,
 Przez rysy junacze,
 Nieraz marszem brwi naciśnie,
 By ukryć że płacze!

Nie powie, że bił się tęgo,
Że lał krew szeroko,
Ale wspomnij Lipsk, Marengo,
I spójrzj mu w oko!

Dziś gdy jego przeszłość cała,
W grobie pochowana,
Bywa zimny gdyby skała,
Milczący jak ściana.

Ale przed nim niespodzianie,
Wyrzecz imię Jego,
On się zerwie, frontem stanie,
I łączy mu pobiegą.

Krzyż na piersiach—lecz ma drugi,
Pod suknią znak boski;
Obok krzyża za zasługi,
Medal Częstochowski.

Krzyż i medal miał na łonie,
 W dni bitew jak zbroją;
 Piers wojaka i po zgonie,
 W krzyż, w medal ustroją.

Z medalikiem zda rachunek,
 Przed Najwyższym Panem,
 Z krzyżem — stanie na meldunek,
 Przed wodzem kochanym.

1846.

DO **

Kiedyś w ojczyźnie pomiędzy swojemi—
 W cudze krainy twa dusza ulata;
 Wzdychasz błuznierczo do Auzońskiej ziemi,
 Kréślisz obrazy Germańskiego świata,
 Złorzeczysz matce wśród dzikich uniesień,
 Że nadto brzydka kiedy się rozślocha,
 Że na jój twarzy wiekuista jesień,
 Że nie tak piękna jak obca macocha.
 Ptaku przelotny! co w wiosnie żywota,
 Pod obce niebo poleciałeś w góści,

Spytaj jaskółki co w oknie szezebiota,
Czemu kolibrom słońca nie zazdrości?
Czemu u obcych pogościwszy zimą,
Wraca na lato pod strzechę rodzimą?—
Szczęśliwe ptaszki, trzykrotnie szczęśliwe,
Szczęśliwi ludzie nie czują jak błogo,
Że raz wybiegłszy za domową niwę,
Znowu gdy zechcą powitać ją mogą.
Lecz zapytajcie ranionego ptaka,
Co nie mógł z braćmi powrócić na Litwę,
I zapytajcie w obczyźnie biedaka,
O jego dumkę, o jego modlitwę,
Spytajcie czego zesmutnieli oba?
Jak się im piękny Neapol podoba?
Od błoń Auzońskich gdzie lasy mirtowe,
Czemu do sosen wrywa się dusza?
Tamte powietrze i lekkie i zdrowe,
Czemu im piersi pali i osusza?
Nie jeden może z nieszczęsnych tułaczy,
Błądził tak samo rodzinnój zagrodzie,

Dzisiaj poznawszy co dym swojski znaczy;
Czuje zgryzotę co mu piersi bodzie;
Zna że bluźnierstwem znieważył niebiosy,
I wziąwszy sakwę pielgrzymską na ramie,
Szedłby na Litwę odarty i bosi,
Przebłagać Matkę Bożą w Ostrój-Bramie,
Przebłagać góry i rodzinne bory,
Którym się niegdyś tak srodze zawinia:
Zdrowie swój duszy odzyskał-by chory,
Od szklanki wody z Niemna lub Horynia.

1854.

DO WIKTORA KAŻYŃSKIEGO.

Z POWODU JEGO ŚPIEWNIKA.

Graj, dudarzu, graj,

Więcej piosnek daj.

Niech się wsłucha w twoją pieśnię,

Niech Litewska dusza wskrześnie

I polubi kraj!—

Graj, dudarzu nasz,

Dziewkom nótę wskaż.

Niech się w chłopcach duch odzowie,

Niech zapłaczą staruszkowie,

I wyjaśnią twarz.

Graj, dudarzu, piéj,
 W głébi naszych kniéd,
 W głébi serc — pod naszą strzechą,
 Znajdziesz, grajku, znajdziesz echo
 Dla piosenki twéj!

1854.

NIEPISMIENNY.

(GAWĘDA LUDOWA).

I.

Ja nie zazdroszczę, chowaj mię Boże,
 Nic i nikomu na Bożym świecie;
 Jednego tylko zazdroszczę może,
 Że wy panowie pisać umiecie.
 Dajcie mi pióro i kartę białą,
 Nauczcie piórem wodzić w potrzebie!
 Tożby latało, tożby latało,
 Jak błyskawica po ciemnym niebie!
 Wszystko, co boli, co cieszy szczerze,
 Co sam obaczę, co mi kto powie,

Wszystko-bym wiernie kładł na papierze,
 Dumka po dumce, słowo po słowie.
 Spisałbym widok Bożego świata,
 Każdy tak piękny, każdy odmienny;
 A teraz wszystko marnie ulata:
 Bom nieuczony, bom niepiśmienny.

II.

Spisałbym naprzód piękne sny moje,
 Bo czasem cudnie przyśnić się zdarzy:
 Kiedy zobaczę śliczną dziewczoję,
 Albo aniołów o jasnój twarzy.
 Spisałbym potem ptasząt słoweczka,
 Ranne skowronka *Zdrowaś Marija*;
 Wydałbym pismem, co mówi rzeczka?
 Gdy się w kamykach pianą rozbija?
 Co mówi z wiatrem kłosisista niwa?
 Co ryczą woły, jak beczą stada?
 Jak dzwon kościelny ludzi przyzywa,
 A potem mrużąc sam z sobą gada?

Jak kowal młotem bije w kowadło?
 Jak młynarz grzmoce w rozszczep kamienny?
 Wszystkoby wiernie spisać wypadło.
 Pozał się Boże! jam niepiśmienny!

III.

Jakie rozkosze! jakie rozkosze!
 Umieć wypisać słowo po słowie,
 Co marzę w myślach, co w sercu noszę!
 Karta zrozumieć, piórko wypowie.
 Ludzie gotowi wyśmiać biedaka,
 Nie zrozumieją, serce ci zranią;
 A czasem dumka przychodzi taka,
 Że i słów żadnych nie znaleźć na nią.
 Jabym po prostu jak serce puka,
 Takbym i pisał na białej karcie:
 Pukanie serca złowić nie sztuka,
 Ludziom nie można mówić otwarcie.
 Pióro wyskrzypi z pod serca mowę,
 A papier mileży jakby mur ścienny...

Dumki — gołąbki, bywajcie zdrowe!
 Ja was nie schwycę — jam niepiśmienny.

IV.

Łatwiejże panom, łatwiej żydowi,
 Szczęśliwi w sądach biegli pisarze:
 On swoje dumki na papier złowi,
 A potem z ludźmi co chce dokaże.
 Ja — daj mi piórko, naucz niem władać, —
 Kiedy na kartę wszystko wyłożę,
 Gdy moją nędzę pocznę powiadać,
 To twarde serca skruszyłbym może.
 Spisałbym z tego bez żadnej zmiany,
 Xiążkę modlitew, taką jak kramną,
 A tam i Chrystus ukrzyżowany,
 Możeby łezkę wyronił za mną.
 Gąsko, ty gąsko! ja latem paszę,
 Ja ciebie karmię w porze jesiennój!
 Daj mi twe piórko! daj skrzydło wasze! —
 Tożto polecę, człek niepiśmienny!

TREDŹŁOWE *)

GAWĘDA KU SZLACHECKIEMU ZBUDOWANIU.

*) *Tredźłowe, odhuźne*, tak się zowią podarki, które nabywca konia, lub otrzymujący go w darze zwykł dawać stajennój czeladzi.

Dziś — gólkki, bywało wstąpił
Ja nie nie odwoła — jak się powiada.

IV.

Wszystko tam, wszystko tam,
Wszystko tam, wszystko tam.

On swoje słowa nie może odwrócić

A potem — **TRIEDNOWE**

GAWĘDA KU SNAJGECZERNIU-KRUBOWANIU

To jest... w tym miejscu...

Wszystko tam, wszystko tam...

Wszystko tam, wszystko tam...

A teraz... w tym miejscu...

Wszystko tam, wszystko tam...

Wszystko tam, wszystko tam...

Wszystko tam, wszystko tam...

(*) Wskazane odhaczone, tak się rozpię podnieki, kto
rozniebnyw konia. lub otrzymujący go w darsze
zawzi dawed stajannj miedzi.

II.

I.

Héj, młokosy! żal mi was!
 Niby stary znacie czas,
 Niby wiecie o narodzie:
 Jak żył szlacheć na zagrodzie,
 Jak na zamku władał pan,
 Jak się w celi modlił mnich;
 Znacie w Polsce kilka zmian,
 I sądzicie naród z nich.
 Ej, do czarta taki sąd!
 Tysiąc błędów idzie ztąd,
 Tysiąc bredni ciśnie druk,
 A tych druków owoc masz!
 Będzie bredzić późny wnuk

Jak za matką *ojcze nasz*,
 Przenaturzy, przeklnie, złaje,
 Staroświeckie obyczaje,
 Zarumieni twarz.

II.

Ot! mówicie w jeden głos:
 Że brat szlachcie służby niósł,
 Że w magnackim karmion dworze,
 Swego zdania mieć nie może,
 Że za lichy gruntu morg,
 Że za kufel, miedzi trzos,
 Swe sumienie dawał w borg,
 Swój sejmowy przedał głos,
 Juźci... juźci... jakoś tam,
 Były grzechy — ja to znam:
 Służebnością ginał świat,
 Zaściankowy podlał brat...
 Ale nieraz mierny stan
 Z panem zęby gryźł do dziąsł,

I nie łatwo jasny pan
 Zaściankową bracią trzął:
 Mimo hardéj swéj postaci,
 Musiał w braci — uznać braci.

III.

Gdy nie wierzysz, zobacz sam:
 Ja ci mały przykład dam.
 Żył przed laty w gronie braciéj,
 Stary żołnierz Bardysz Maciéj.
 Świat splondrował wzdłuż i w szerz,
 Z mnogich wojen wrócił zdrów,
 A na starość chrobry miecz,
 Już zawiesił u swych głów.
 Włokę gruntu czynszem wziął,
 Zaprowadził ule pszczoł,
 Zaprowadził stado klacz,
 Wyhodował chartów smycz,
 Na jarmarkach był to gracz,
 Na zwierzyne był to bież.

Placil czynsz na Święty Jerzy, in I
 Panu czołem nieuderzy; woźniokoX
 Lecz kto z braci mu zawierzy, minil
 Jak na brata licz! w ianaiM

IV.

Konie jego — znaczny ślad, bD
 Jeszcze dawnych, polskich stad: al
 Maść gniadawa albo kara, X
 Pół Araba, pół Tatar; stary yrac
 Co to z wiatrem idzie w lot, B
 Co się z człkiem umié zrośé, n X
 Co przeczuwa cugla zwrot, A
 Co kierować myślą dośé, iuL
 Co to czuje, że jest żyw W
 Z owsa, siana polskich niw, K
 Co w śród boju, w śród pałaszy S
 Wié, że broni swojej paszy, b
 I już leci z całych sił, W
 Gdzie bojowy ujrzy pył, W

Gdzie usłyszysz trąby zgrzyt;—
 A zapalem samym syt.
 Nie pomyśli przez trzy doby,
 Gdzie spoczynek, gdzie są żłoby,—
 Czuje mężki wstyd.

V.

Sześć rumaków jakby strzał,
 Stary Bardysz w stajni miał.
 A że nie chciał gnuśnieć marnie,
 Toć i charty z jego psiarnie,
 Czy przez gęsty sadząc płot,
 Czy to w poprzek polnych miedz,
 Mogły z wiatrem w zawód biedz,
 Mogły ptaszka dognać w lot.
 Lisa zwrótów już nieucz,
 Bo to stary majster zrad,
 Zajac umie w błędny klucz,
 Gmatwać skoków swoich ślad.
 Lecz odprzęgnij sfory stal,

Każ za zdrajcą lecieć w dal,
 Ruszą zwierza wierne psiska,
 Z najskrytszego legowiska —
 — Jeno w łeb mu pal!

VI.

Stary Bardysz lubił ruch,
 Był do konia jeszcze zuch,
 Lubił z charty latać w pole,
 Przypominać swe swawole
 I sąsiadom dawać wzór,
 Hartowności czasów swych,
 I w ostępie stać jak mur,
 I odyńca brać na sztych,
 Lub z rusznicy — kuli treść
 W niedźwiedziowe kudły wpleść.
 To też starca wielbił lud;
 Powiadano ze wszech stron:
 Bardyszowe konie — cud,
 Dzielne charty trzyma on!

I rusznicę ma nielada,
 Koniem, chartem, strzelbą włada;
 Lecz nad charty, strzelbę, konie,
 Duch dzielniejszy w sercu płonie
 U starego dziada.

VII.

Doma sławy mając dość,
 Dalej... dalej począł rość:
 Między pany, kasztelany,
 Maciej Bardysz już był znany.
 Pan miejscowy zwrócił twarz,
 Myśliwemu wielce rad,
 Od którego szlachcic nasz,
 Trzymał czynszem gruntu szmat.
 Był-to wielce możny człek,
 A xiążęciem z wieka wiek,
 A tak hardym, że to wciąż
 Kasztelaństwem wszystkim dmie.
 Więc oświadcza wielki mąż,

Że Macieja poznać chce.
 Lecz Macieja myśli insze:
 — „Co mi z tego? placę czynsze;
 „Łask nie trzeba mnie.”

VIII.

Rad ze swoich hardych słów,
 Łaskę szlachty skarbi znów.
 Lecz z panami trudne żarty:
 Pan kasztelan wciąż uparty,
 Znów przysyła dworzan dwóch,
 By do zamku starca zwać;
 A choć może dworski słuch,
 Harde słowa dał mu znać,
 Był z Bardysza wielce rad,
 Przyjął w zamku za-pan-brat,
 Puhar miodu przepił doń;
 A że był to łowów czas,
 Wyciągając pańską dłoń,
 Prosił jutro z sobą w las.

Tak uprzejma pańska łaska,
 Bardyszowe serce głaska,—
 To już nałóg w nas.

IX.

A nazajutrz, hejże! héj!
 Życie wrzało w głębi kniej:
 Spolowano dwa obchody,
 Legł pod strzałem warchlak młody;
 A dzik stary w susach złych,
 Bardyszowi zgubę niósł,
 Lecz się potknął na sam sztych,
 Jak nieżywy padł na wrzos,
 Bardysz zręcznie skoczył w tył,
 I strzał celny w łeb mu wbił.
 Hucznym krzykiem cały dwór,
 Salutował celny strzał,
 Dźwiękiem trąbek szumiał bór,
 Że ktoś w sercu jakby grał:

I za dzika starą głowę
 Pito huczne pogrzebowe,
 Miód się zdrojem lał.

X.

Rzekł kasztelan: „Teraz dość!
 „Dajmy dzikom w lasach rość;
 „Ot w zaroślach piękna łączka,
 „Puścim charty na zajączka,
 „Puścim gończe między chróst.
 „Dojeżdżaczy puścić w tan!“
 Rozkaz pobiegł z ust do ust.
 „Panie Bardysz!— rzecze panin
 „Okazały waścin chart,
 „Zobaczymy, co on wart.
 „Chcę pohasać konno sam,
 „Jeśli łaska daj mi smycz,
 „A na wzgórkę staniesz tam,
 „I obróty nasze licz.

„Przed tak dzielnym jak wy starcem,

„Popisowym ruszę harcem,

„Jak na Hordy dziez!”

XI.

Smycz z chartami ujął w dłoń,
 Wskoczył na koń—parsknął koń;—
 Wtém głos gończych jęknął głuchy,
 Wybiegl szarak długosłuchy,
 Staął słupem, patrzy w bok,
 Wypatruje kędy biedz,
 Stulił uszy, sprężył skok,
 I wzdłuż żółtych polnych miedz,
 Rwie do lasu z całych sił,
 Aż się za nim kłębi pył.
 Więc kasztelan ruszył w cwał,
 Charty przed nim lecą w sznur,
 Jakby jedne wicher gnał,
 Długie wążkie pasmo chmur:
 Zwierza, strzelca, chartów, psiarnię
 Lekką taśmą pył ogarnie
 Żółtych pól i gór.

XII.

Długosłuchy pojął rzecz,
Skłuczył na bok... charty w przezec,—
Dziarski rumak, czolo stada,
Już dopada, już dopada,—
W kasztelanie kipi krew',
Palnąć z konia miał już wczas;
Kiedy pędząc mimo drzew,
Zając skłuczył drugi raz,
Chyłkiem... chyłkiem z góry w dół
Poplątane ścieżki snuł.
Niedaremny strachem gnan,
Coraz w dalszy sadzi kres;
Już go z oczu stracił pan,
Jeno węchem tropi pies.
Wedle ścianki po manowcu,
Od mogilek w chróst jałowcu
Już dobiegał, już miał wpaść—
Gdy kasztelan zajął tył:

„Nieucieczesz w chrósty waść!

„Heżha psiska! z całych sił!”

Zając skluczył po raz trzeci,

Nieprzytomny w pole leci,

Aż się kurzy pył.

XIII.

Na rumaka wyszedł pot,

Całą niwę tropem zgniotł.

W lewo, w prawo zając myli,

Już odleciał na pół mili,

Już go w knieję pędzi czart,

Kroków może trzy czy dwa;

Lecz Bardyszow zręczny chart

Już dogania, już go ma.

Pisnął zając w smutny głos,

I do góry oczki wzniosł,

I zduszony trupem padł;

Kiedy pan z kopyta grzmi,

Dobiegł, z konia skoczył rad,

I pogłaskał dzielne psy,
 I ze skoków dał odprawę,
 I otrąbił swoją sławę,
 Jak za dobrych dni.

XIV.

Bardysz śledził każdy zwrot:
 „Jak z partesów! jakby z nót!
 „Dzielny rumak, dzielne psiska!
 „Dzielne serce u paniska!
 „Jak on z koniem umie grać!
 „Jak szykowny każdy ruch!
 „Jak myśliwca zaraz znać!
 „I na wojnie pewno zuch!
 „Co mi potem, pan czy czart?
 „On przyjaźni mojej wart!
 „Po wojacku rękę dam,
 „Po bratersku rzeknę doń:
 „Że kasztelan co mi tam,
 „Ja myśliwca ściskam dłoń!”

I uczynił jak powiedział:
Bo nie dzieli bogactw przedział

Kogo łączy broń.

XV.

Pan utroczył zdobycz swą,
Sadzi klusem — trąby grzmią,
Dwór winszuje — sta lat życzy;
A on charty dzierżąc w smyczy:
„Mości Bardysz! — krzyczy w głos —
„Skarb posiadasz a nie psa!
„Za tę zdobycz, co mi wniósł,
„Sto dukatów każdy da;
„Bo to rozkosz, mówię wam,
„Z taką psiarnią kiedy szczwam!
„Jaka zmyślność! jaka maść!
„Jak przeskoczył dzielnie rów!
„Sto dukatów! bierzesz Waść?
„Żądasz więcej?.. śmiało mów!
„Tam u Waści głodno, chłodno,
„Ja mu psiarnię dam wygodną,
„Będzie żyw i zdrow!”

XVI.

Bardysz wiedział co to cześć,
Hardéj mowy nie mógł znieść,
Lecz w łowieckim dziś zapale,
Nieuważał na nią wcale:
Bo nie pański złota trzos,
Lecz myśliwski cenił duch.
Więc z daleka krzyknie w głos:
„Kasztelanie! jesteś zuch!
„Na mą przyjaźń teraz licz,
„Niech ci służy moja smycz;
„Na pamiątkę charta bierz,
„Który z tobą dzielił znoj,
„Niech uszczwany każdy źwierz,
„Przypomina affekt mój.
„Weź pamiątkę w mój chudobie,
„A pieniądze schowaj sobie
„Na twych dworzan rój!”

XVII.

Magnat skraśniał gdyby mak,
Targnął wąsy — gniewu znak;
Lecz że szlachtę skarbił wkoło,
Wypogodził dumne czolo,
I braterski przyjął dar,
Mimo świetny pański ród.
Wtém myśliwski zagrzmiął gwar,
Pito wino, pito miód.
A gdy orszak ruszył z kniej,
Pan rozmyślał w duszy swój:
„Hardy szlachcic! mądry snadź!
„Obyczaje pańskie wie:
„Sta dukatów nie chciał brać,
„Podarunek daje mnie!
„On rozumie, że w łask drodze
„Ja go hojniej wynagrodzę:
„Pana odrzeć chce!”

XVIII.

Tak panowie w każdy czas,
O rachubę winią nas!
Daj mu serce jak na dłoni,
A on za to trzosem dzwoni,—
I rozumié, że za grosz
Można kupić cały świat,
Wioskę, ziemię, łany zboż,
Dusze ludzkie z liczbą chat,
Kupić sobie roje sług,
Serca niewiast, koni cug!
Zkąd się wzięły, dziwna rzecz,
Takie myśli do ich głów?
Trzeba w dzieje zajrzeć wstecz...
A to przedmiot inny znów!
Więc zostawmy reflexyje.
Kto z faworów pańskich żyje,
Niechaj żyje zdrów!

XIX.

Przeminęło kilka dni,
Stary Bardysz ani śni;
Gdy doń w gości przybył z rana,
Pan koniuszy kasztelana.
Był to starzec jak i on,
Zaściankowy sobie człek;
Lecz przybyły z dalszych stron,
Służył panom cały wiek.
Tak w ukłonach zginał grzbięt,
Że słuźalca poznasz wnet.
Tylko męztwa dawał ślad,
Kiedy konia puścił w cwał:
Bo, mosanie, z młodych lat
On godniejszą przeszłość miał,
Służył w wojsku wraz z Bardyszem,
Był w chorągwi Towarzyszem,
Szturmem zamki brał.

XX.

Jak z Bardyszem oni dwaj,
 Tak był wtedy cały kraj:
 Jeden dworak, człek bez woli;
 Drugi rolnik, pan swój roli.
 Dworak życia nie miał nic,
 Blady, słaby, wątych sił;
 Rolnik czerstwy, zdrów jak rydz,
 Chociaż czarnym chlebem żył.
 Dworak młodszy kilku lat,
 Choć z panami za-pan-brat,
 Lecz posiwiat, snadź od trosk,
 Aż na niego spójrzeć żal!
 Pan koniuszy był jak wosk,
 A pan Bardysz jako stal,
 Że kto spójrzy, każdy powie:
 Komu takie dano zdrowie,
 Pana Boga chwal!

XXI.

— „Kopę latek!” — „Kopę zim!”

— „Jakże zdrowie?” — „Krucho z nim!”

I tak dalej — gadu... gadu...

Przyszeli wreszcie czas obiadu: —

Zadymila wdzięczna woń,

Wnieśli flaszę na ich dwóch,

Poszła czarka z dłoni w dłoń,

Misa barszczu znikła w puch;

Potem suty z kaszą zraz,

I gorzałka drugi raz!

Bardysz kazał miodek wnieść, —

Wychylono — powstał gwar,

Rzekł koniuszy: „Dobra wieść!

„Pan kasztelan szle ci dar!

„Ej, Rotmistrzu, dar nielada:

„Dzielny rumak z jego stada,

„Dzielny ze wszech miar!”

XXII.

Stary Bardysz zmarszczył brew', —
 Zakipiała harda krew', —
 I pomyślał: „Co u kata?
 „To za charta suadź zapłata!!”
 Poczzerwieniał, zjeżył wąs;
 Lecz rozwaga przyszła w czas, —
 Więc bez żadnych rzeczy dąs:
 „Łaska pańska żywi nas!
 „Pan kasztelan zna swój stan,
 „Chce żyć z ludźmi jako pan.
 „Mój podarek licha wart,
 „Lecz hojniejsza jego dłoń:
 „Co inszego dzielny chart,
 „Co inszego dzielny koń.
 „Za pamiątkę tak zaszczytną,
 „Moję wdzięczność czołobitną,
 „Raczysz odnieść doń.

XXIII.

Puhar w puhar — razy z sześć;
 Kazał Rotmistrz miodu wnieść.
 Potém wyszli na krużganek:
 Tam pod stajnią koń, kasztanek,
 Skakał, wił się, gdyby wąż,
 Targał trędzłę z całych sił,
 Jeżył karczek, parskał wciąz,
 Kopytami źwirek bił.
 Rzekł koniuszy: „Widzisz Waść,
 „Co za kształty, co za maść!
 „Dobrze wróżyć można z niej!
 „A w tém oku jaki blask!
 „Wdzięczném sercem przyjąć chciój
 „Kasztelanskich fawor łask!”
 Bardysz tylko kiwnął głową,
 Z pod nawisłej brwi, surowo
 Spójrzył jako źmiój.

XXIV.

Lecz złagodził wkrótce twarz,
 Wdzięczny uśmiech znowu masz;
 Koniuszemu rzekł z powagą:
 „*Gratias ago! gratias ago!*
 „Pan wspaniały — rzeczeć mu,
 „Żem z rumaka wielce rad.
 „Co zaś do was — w Polsce tu
 „Jest obyczaj z dawnych lat:
 „Biorąc konia, albo cug,
 „Dla stajennych cudzych sług
 „Trza podarek jakiś dać;
 „*Trędźłowego* to się zwie.
 „Tedy wdzięcznie przyjmij Wać,
 „Na co jeno stało mnie:
 „Składam Waści za ofiarę
 „Pistoletów dzielnych parę —
 „Spodobacie snadź.”

XXV.

Wyniosł tedy piękną broń,
 Koniuszemu wcisnął w dłoń.
 „Patrzcie! — rzecze — to broń przednia,
 „To po Turkach jeszcze z Wiednia.
 „Gdy mój ojciec w gradzie kul,
 „Wezyrowski namiot brał,
 „Jan Sobieski dzielny Król,
 „Pistolety jemu dał.
 „Tu arabskie słowa są.
 „A jak biją?! kroków sto!
 „Gdy nie wierzysz, to sam strzel,
 „Lub ja, pozwól, próbę dam!”
 Rzekł — i śmiało wziął na cel
 Łeb rumaka — i w łeb sam
 Palnął kulką o trzy kroki; —
 Rumak wydał stęk głęboki,
 Trysły mózgu, krwi potoki
 Do stajennych bram.

XXVI.

I bez ducha trupem padł,
Kasztelańskich czoło stad.
„Teraz kwita!—Bardysz powie—
„Nie zawstydzą nas panowie.
„Ma kasztelan żart za żart.
„To coś widział odnieś doń:
„Co inszego rączy chart,
„Co inszego dzielny koń.
„Ja, mospanie, stary szpak,
„Ja się nie chcę mieniać tak.
„Jam w pamiętce charta dał,
„Wynagradzać ni się waż!
„Oto teraz celny strzał,
„Porachunek zrównał nasz!”
Tak powiadał dziad wyniosły,
Aż mu wasy w górę rosły,
Aż kipiała twarz.

XXVII.

„Od bogatszych większy dar,
 „Mnieby wstydział ze wszech miar.
 „Jam żołnierskiej człek natury,
 „Lubię pościel z końskiej skóry:
 „Upominek mi się zda,
 „Ale zysków Boże broń!
 „Warta charta skóra ta,
 „A zadrogi byłby koń.
 „Raczie dzięki moje nieść,
 „Za pamiątkę i za cześć.
 „Jakem z reszty spłacił dług,
 „Nie zapomnij moich słów;
 „A gdy zrzeczność poda Bóg,
 „Dam pamiątkę panu znów.
 „Waść, koniuszy, masz trędźlowe,
 „Pistolety zabierz owe,
 „I bywaj mi zdrów!”

Październik. 1856.

KONIEC GAWĘD POCZTU V-go.

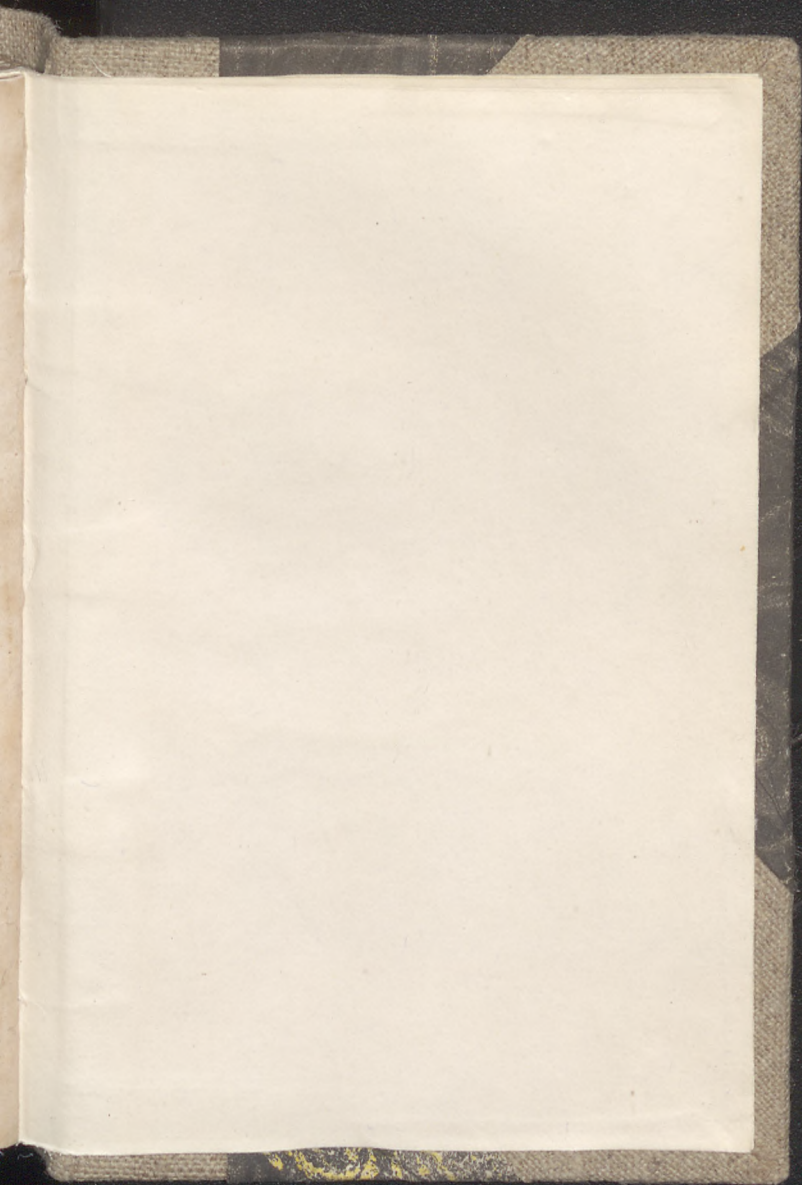
II V X X

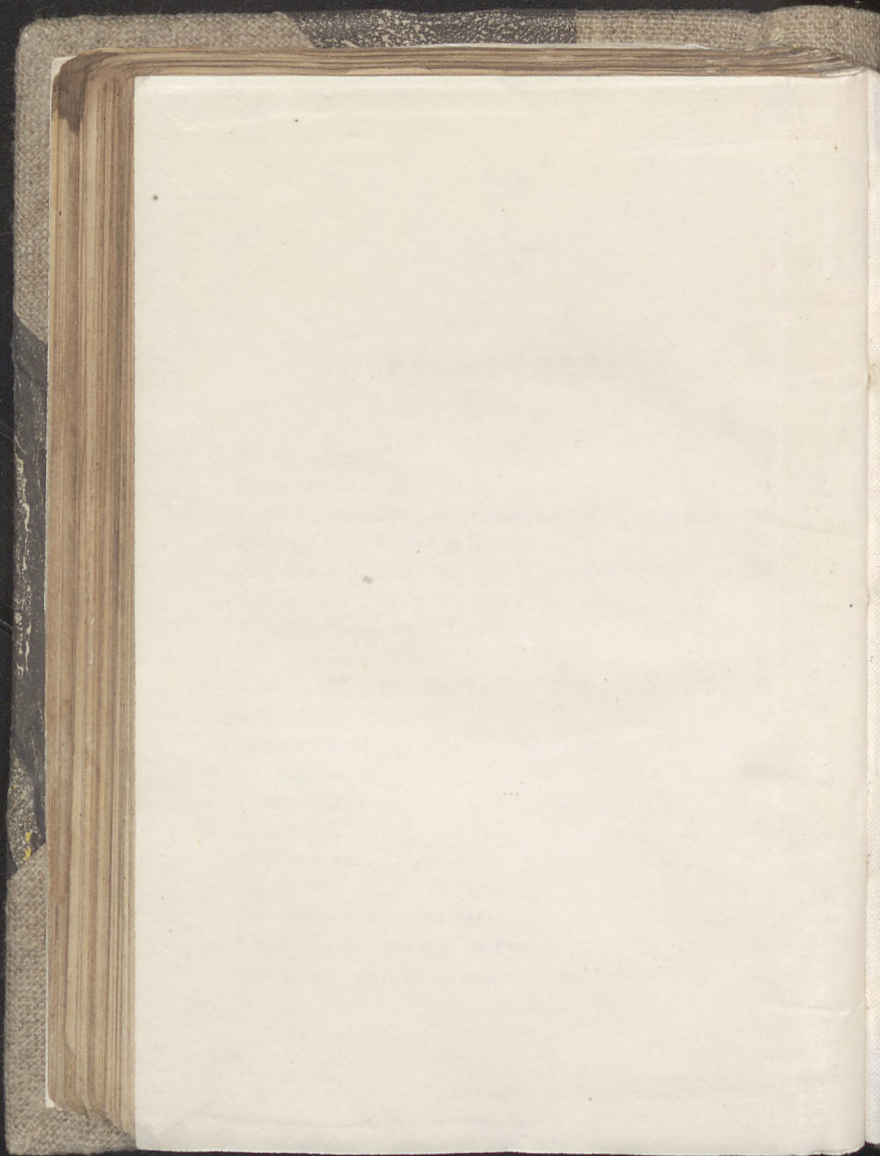
SPIS RZECZY.

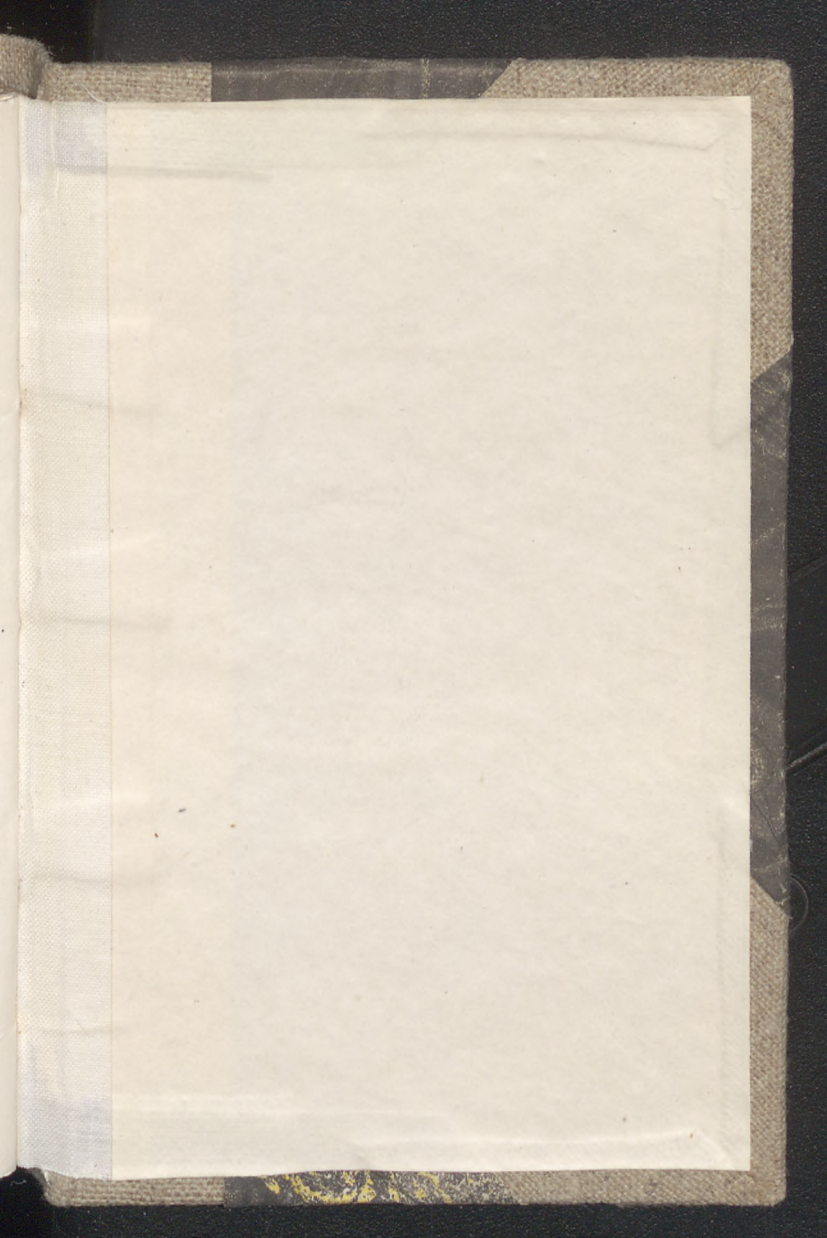
	Stron.
Do Czytelników	VII
Illuminacja	3
Urywek z poematu p. t.: Najmłodszy z Toporczyków .	19
Fragmenta o Filipie z Konopi	35
Wyjątek z listu do K. Wł. Wojcieckiego	67
Kolęda	69
Piosnka Wieśniaczki Litewskiej	71
Zebrak z rzemiosła	75
Kalejdoskop jarmarkowy	89
Przyjaciel Ludzkości	115
Rycerz na czatach, czyli pieśń rycerska o herbie Łżawa	129
Łowiec (urywek)	145
Gracze	149
Napoleonista	151
Do **	154
Do Wiktora Każyńskiego	157
Niepiśmienny (gawęda ludowa)	159
Tredźlowe, gawęda ku szlacheckiemu zbudowaniu .	163



1547
J. Piekarski
13-ua 9.08.20
-90 zt-









895369

POCZET 5

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001014171145